

Wyjustowani

Antologia młodych twórców

Wyjustowani

Antologia młodych twórców

Redakcja

Patryk Chłopek
Aleksandra Złotnicka
Marcin Podlaski

WYDAWNICTWO NAUKOWE
UNIwersytetu
MIKOŁAJA KOPERNIKA

Toruń 2018

Redakcja techniczna:

Poezja: *Marcin Podlaski*

Proza: *Patryk Chłopek i Aleksandra Złotnicka*

Korekta:

Izabela Skolmowska i Natalia Niewiadomska

Korekty pomocnicze:

Maria Wiśniewska, Kinga Cywińska, Marek Kaniaś, Julia Goliat,

Dominika Krzeszewska, Maria Woźniak, Weronika Chorążewicz i Kamil Barski

Opiekunowie projektu:

prof. dr hab. Mirosław Strzyżewski

dr hab. Magdalena Bizior-Dombrowska

Projekt okładki:

Krzysztof Skrzypczyk

Na okładce wykorzystano zdjęcie autorstwa Artura Wojciechowskiego

Skład:

Dariusz Żulewski

Książka dofinansowana przez:

Institut Literatury Polskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Samorząd Studencki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Wydział Filologiczny Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Gminę Miasta Toruń

ISBN: 978-83-231-4007-8

© Copyright by Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika
Toruń 2018

Wydawnictwo Naukowe
Uniwersytetu Mikołaja Kopernika
Redakcja: ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń
tel. 56 611 42 95, fax 56 611 47 05
e-mail: wydawnictwo@umk.pl
www.wydawnictwoumk.pl

Dystrybucja: ul. Mickiewicza 2/4, 87-100 Toruń
tel./fax: 56 611 42 38
e-mail: books@umk.pl

Druk i oprawa: Wydawnictwo Naukowe UMK

Wstęp

Minął niemal rok, odkąd, zainspirowani przez profesora Mirosława Strzyżewskiego, postanowiliśmy rozpocząć prace nad wydaniem publikacji artystycznej. Od tamtej pory nasze zamiary rozwinęły się z naznaczonych lokalnym patriotyzmem planów do przedsięwzięcia na skalę krajową. Chcieliśmy wziąć udział w popularyzacji twórczości młodego pokolenia. Ogłosiliśmy konkurs literacki, mając nadzieję na zebranie wartościowego materiału. Nie musieliśmy długo czekać na pierwsze zgłoszenia, z każdym tygodniem mieliśmy coraz więcej prac, które regularnie trafiały na naszą skrzynkę pocztową. Nie spodziewaliśmy się jednak aż takiego odzewu, a na pewno nie sytuacji, w której w ciągu ostatniego tygodnia przed zakończeniem pozyskiwania tekstów odezwie się do nas ponad 200 osób! Była to połowa zgłoszeń z całego okresu trwania konkursu, w którym wzięło udział 404 artystów. Ponadto poziom nadesłanych prac powodował wiele emocji przy ich selekcji, zapewniając nam tym samym wspaniałe doświadczenia. W naszym wyborze staraliśmy się kierować atrakcyjnością artystycznej wizji oraz kunsztem formalnym utworów, ich oryginalnością, panowaniem nad językiem, ale również tym, co porusza i skłania do refleksji, co, mamy nadzieję, wrażliwy czytelnik odczuje podczas lektury.

Czym jest pojedyncza książka dla jej posiadacza? Może być nośnikiem wspaniałej historii, źródłem wiedzy lub przyjemności. Czytelnik może do niej żywić sentyment lub uważać jedynie za następną „odhaczoną” pozycję na prywatnej liście lektur. Mamy nadzieję, że ta książka, stojąc na półkach dwudziestu siedmiu autorów prac w niej opublikowanych, będzie symbolem inicjacji ich piśmienniczej kariery, wzbudzając dumę, ale również pobudzając chęć rozwoju umiejętności. Dla każdego czytelnika, który wybrał tę pozycję spośród wielu innych, niech to będzie zaś wspaniałe odkrycie determinujące chęć obserwacji dalszych poczynąń poznanych tu artystów.

By każdy mógł lepiej utożsamić się z autorem, poprosiliśmy ich o napisanie kilku słów o tym, czym dla niego jest artyzm.

Na koniec tego krótkiego wstępu chcielibyśmy podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania publikacji – Magdalenie Bizior-Dombrowskiej za sprawowanie pieczy nad naszą pracą, wskazówki i mobilizację do pracy, Martynie Buliżańskiej i Małgorzacie Stefaniak za pomoc w ocenie utworów, naszym sponсорom – Dyrektorowi Instytutu Literatury Polskiej, profesorowi Waławowi Lewandowskiemu, Wydziałowi Filologicznemu i Samorządowi Studenckiemu Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz Urzędowi Miasta Torunia za udzielenie pomocy w sfinansowaniu publikacji, a przede wszystkim naszemu profesorowi, Mirosławowi Strzyżewskiemu, który skrzesał w nas iskrę, motywował i wspierał.

Wyjustowani

Poezja

Magdalena Lipniak-Młyńczak

Myślę, że każdą działalność artystyczną można porównać do gotowania.

Kiedy pani (albo pan) domu przyrządzi potrawę smaczną, zdrową i bogatą w białko, witaminy i inne niezbędne składniki, a do tego tanią, to jest zaradność i praktyczność. Kiedy ta sama pani (lub ten sam pan) jest w stanie zrobić to wszystko niemal z zamkniętymi oczami, bo gotuje codziennie od wielu lat, nazywamy to rutyną i życiowym doświadczeniem.

Jednak dopiero wówczas, gdy potrawa wzbudza takie emocje, że każdy, kto jej próbuje, staje się choć na moment nieco szczęśliwszy, wtedy można mówić o artyzmie.

ŻYCIE MA WIELE ODCIENI

Biały

Uwielbiasz, kiedy ciemność jak koc cię otula.
Unosisz się, opadasz, nabierasz dystansu...
Ach, nie chcesz się przebudzić z przyjemnego transu!
Z daleka koją głosy jak pieśń trubadura.

Wtem nagle – ostrze bieli na pół świat rozdziera,
Jaskrawe światło błyska, mruga, oczy rani
I słyszysz zgrzyty z białej przybyłe otchłani,
Ta światłość, ta bezradność... krzyk w krtani się wzbiera.

Kawałek po kawałku konasz – masz wrażenie.
Jedynie w cieniu możesz odnaleźć wytchnienie.
Do niebios modły wznosisz o ulgi troszeczkę...

Ta śnieżna bladość boli jak rana jątrzona,
Lecz oto cię chwytają przyjazne ramiona...
„Serdeczne gratulacje, ma pani córeczkę!”

Różowy

Gros doznań rozmaitych na życie się składa.
Niekiedy myśl rozkwita, że „to nie przyśni”,
Lecz młodość wstydu, hańby, Boga się nie boi
I nie zna sytuacji, gdy coś nie wypada.

Patrzące szczerze ślepia i buzia tak gładka
Dorosłych tłum bezbrzeżnym rozczula uśmiechem.
Największa zbrodnia małym wydaje się grzechem,
Gdy czyn taki ocenia siedemnastolatka.

W duszyczce młodej trele czy lato, czy zima.
Łez nie zna, a nostalgia się serca nie ima.
Pocieszna to istotka, skoczna niczym pchełka.

W tym wieku łatwe cuda i magia; by czary
Urzeczywiścić, starczy odrobina wiary,
Gdy patrzysz przez różowych okularów szkiełka.

Czerwony

Pamiętasz zachód słońca w waszej letniej daczce?
Ogniska błady poblask i drobiny żaru
Parzące nagie lędźwie, kiedy bez umiaru
Kochaliście się dziko jak para smarkaczy?

Rubinu blask w pierścionku bardzo cię zaskoczył.
W dniu ślubu z polnych maków swój uwiłaś wieniec.
Policzki ci naznaczył okrągły rumieniec,
Twój obraz odbijały ukochane oczy.

Więc ile barw powinna mieć życia paleta,
By sięgnąć po nią mogła przeciętna kobieta?
Choć z czasem zzółkły zęby, wiek odbarwił skronie

I każdy miesiąc innym kolorem się mieni,
Choć żywot ludzki często z burych tkaną cieni...
Kobieca miłość zawsze krwi czerwienią płonie.

Szary

Gdy życie możliwości przeraża człowieka,
To bywa, że najęźsze skądinąd umysły
Wpadają na dziwaczne niekiedy pomysły,
Nieborak skargi szatą język przyoblecze.

Tak właśnie było z tobą. Raz jeden bez wiary
Do babci przysłaś, z płaczem kwitnącej dziewczyny;
Na życie, co pod znakiem upływa rutyny,
Żaliłaś się: „Dzień każdy tak samo jest szary!”

„Ma szarość setki oblicz – mruczy babcia – płowy,
Jak marmur, popiół, gołąb, rysik grafitowy.
Zależy od człowieka, który ton wybierze,

Lecz pewne jest, że wiele szarości zawdzięcza.
Na tle jej dobre chwile mienią się jak tęcza,
A mądry w codzienności niezwykłość dostrzeże”.

Niebieski

Pochyla głowę wnuczka; ach, piękna dziewczyna!
Odwracasz wzrok od pary błękitnych tęczówek
Do firan w barwie chabrów (widok jak z pocztówek).
Na dłoniach sieć niebieska – żyłek pajęczyna.

Nie smucisz się jak ona; na twych ustach błądzi
Uśmiechu cień, co wznosi kącik sonej wargi.
Odchodzisz ku wieczności w spokoju, bez skargi.
Czy żyłaś godnie? Nie wiesz. O tym Bóg rozsądzi.

Czas nadszedł, aby niebios rozewrzeć podwoje.
Odrywasz się od ciała, ziemskie zrzucasz stroje
I stajesz obnażona, zastrygła z zachwytu.

Na dole został padół, duch ciągnie do góry.
Serafin lico muska anielskimi pióry...
Wzlatuje twoja dusza w ów bezmiar błękitu.

*Błażej
Tomaszewski*

Artyzm jest tą częścią ludzkiej wrażliwości,
która może wyrazić się przez wszystko poza samą sobą.

bracka 23

zagubionej formy nie ma w stolicy
jest za to wanna
gumowy tub został w zarytym
zagubionej formy nie ma w zarytym
w stolicy jest przyjaciółka
korespondentka
żona
arystokratka
wie, co ważne w życiu i poza nim

muszę panią namalować
proszę przyjechać do zakopanego
a co pan tu robi?
przyjechałem do żony

na brackiej 23 nie ma zagubionej formy
jest miłość

mistrz i małgorzata

może ja w ogóle nie lubię kwiatów
a wypadający z zaułku morderca mnie przeraża

może nie będzie zapowiadanej schizofrenii
a olej pozostanie w butelce

może tramwaj nie jest gilotyną
a koty jeżdżą na gapę

może kant nie trafił do piekła
a szatanem nie jest holoubek

może mam na imię joshua
a żadnej powieści nie ma

zgwałcona markiza

markizę miriam gwałci czterech baronów
krzyk markizy podobny jest trąbom jerycha
baronowie zmieniają się
jeden po drugim
markiza przyjęła wszystkich w rozwarte odnóża

baronowie się zmęczeni
leżą bez życia
markiza za piątym się rozgląda

byli kiedyś prawdziwi mężczyźni

bruno schulz

żydowski chleb kruszy się wspomnieniem snu
w drohobyczu znikają chrześcijańskie dziatki

cień odstających uszu pada na trotuar
zgarbiona sylwetka ucieka w kobiecość

kubiśtyczna szczęka zamienia się w membranę
drżąca ręka szkicuje xięgę bałwochwalczą

drohobycz nigdy nie otrząśnie się z '39

rumiane

nikomu nie podobają się rumiane
wszyscy pożądamy białych

więc rumiane zaczęły tarzać się w mące
podnieca je pożądliwość wobec białości
dlatego tak zwierzęco cierpią
gdy chowają się przed dotykiem

Folanta

Nawrot

Artyzm dla mnie jest iskrą, która powstaje w wyniku zderzenia, ścierania się rzemieślniczej umiejętności tworzenia tekstów kultury (wysoki poziom opanowania techniki, konwencji czy języka oraz przestrzeganie ich reguł) z nieprzewidywalnością artystyczną (zdolność eksperymentowania, wychodzenia poza to, co ustalone, odkryte, przepracowane; dziecięca błyskotliwość). Tym samym artyzm znajduje się między dwoma biegunami: zniewoleniem (formą, poprawnością, pedantycznością) a absolutną wolnością (prowadzącą do chaosu i bełkotu). Dlatego niewielu ludzi jest prawdziwymi artystami.

Wprowadzenie

To nie jest trudne, szybko się nauczysz
odróżniać moje ucho od ucha szklanki,
nogę stołu w kuchni od mojej nogi. Język
wskáže ci odpowiedni kurs, tylko patrz.

Uwaga na głowę! Niebo jest nisko
i możesz o nie uderzyć. Bagaże wnoś
ostrożnie, a najlepiej pozbądź się rzeczy,
które będą tylko zagracać naszą miłość.

Przecież chcemy dobrze się urządzić? Prowadzić
dom otwarty na inność i samotność? Całodobowo
czekaliśmy na tę chwilę, teraz jest piękna.
Rozpakuj się, rozłóż wszystkie swoje karty.

Parapetówkę jednak zrobimy jutro. Dzisiaj
chodź tu do mnie, bo jest mi coraz ciemniej.
Zaraz otworzy się wiersz poleceń. Wtedy
zrób coś, w sposób, w stosunku, plik wejściowy.

Wstęp

Ja tam wojska nie widzę,
ale proszę, wejdź mi w słowo, rozgość się,
powieś na haku przy drzwiach
tę martwą kurtkę. Zrobię kawę

– mocną, prawdziwą, bez ani jednej kropli
białej krwi. Ponoć nadal trenujesz
na wypadek śmierci kogoś bliskiego?
Szukasz znajomo brzmiących słów

w obcych językach? Prawda to, Kochanowski?
Daj spokój, ja tam wojska nie widzę,
tylko mur z ludzi. Każdy z nich umrze
jako młody lub jako stary, no bo powiedz

– ile można siedzieć w łazience,
stać w kolejce, czekać na podanie obiadu?
Przychodzi taki moment, kiedy życie przebiega
ci przez drogę i myślisz: „Co to, kurwa, ma być?”

To o mało mnie nie zabiło!”
I skręcasz, choć nie wiesz za bardzo gdzie.
A tam albinos opala się w pełnym słońcu,
kobieta prowadzi śmieciarkę, murzyn

odrywa niebieskie oczy od nieba,
by spojrzeć na ciebie. Jeszcze raz
mi wyskoczysz z tym wojskiem
na piwo, dziewczyny lub nawet na wojnę,

którą wiedziemy z szatanem, światem i ciałem,
a powiadam ci – nie ujrzysz mnie już więcej
bezczynnej. Ja tam wojska nie widzę.
Jest tutaj i stoisz przed nim

jak przed lustrem w wąskim przedpokoju.

Ja nie znam się na poezji, ale

Ja nie znam się na poezji, ale
umiem bardzo dobrze gotować
się do wyjścia w twoją stronę
– drobne szybkie krocзки i przerzutnia

ciała. Już jestem. Nie znam się, ale
potrafię rysować ludzi i zwierzęta
z pamięci, raz dotknąwszy ich
prawdziwej martwej natury z wędzidłem

w zębach. A ja lecę wszystkich,
którzy przyjdą lub nie przyjdą do mnie
– nawet z najmniejszą dolegliwością, rysą
na sercu, rzęsą w oku, kamieniem w bucie.

Ja nie znam się na poezji, ale
to, co po „ale”, jest najważniejsze.
Niebo jest dzisiaj pełne gwiazd, więc
wlewa je przez każdy nasz otwór.

Przepisy i wiersze

Przepisy i wiersze zapisuję
na źle zadrukowanych kartkach,
w niewykorzystanych do końca zeszytach,
w brudnopisach i starych kalendarzach.

Tak się do końca zagospodarowuje
przeźren sówną, która nabiera znaczenia
w usta, zwłaszcza jeśli za kratkami.
Wyrazy chodzą w tę i z powrotem.

A potem wszystko przepisuję
na komputerze, dzielę na pliki i piekę,
aż powstają ciepłe, chrupiące wydruki
– ciasteczka, które cię śledzą na każdej stronie

tomiku. Tomiku, obudź się!
Właśnie przyszli goście, trzeba im coś dać
do picia i jedzenia, a w lodówce tylko
przepisy i wiersze zamiast gotowych potraw

do odgrzania lub podania na zimno.

Piąta pora roku

Za zimno, za ciepło, za duszno, za wietrznie.
Za mało dni wolnych od gonienia za pieniędzmi.

Przydałaby się jeszcze jedna pora roku,
która zagoiłaby rany niedoszłych samobójców,

kochanków, matek, pracowników ciągle bez awansu.
Kwiaty i kobiety kwitłyby wtedy tylko na różowo,

z chmur padałyby fioletowe pióra i gąbeczki
wchłaniające niepotrzebne lzy i codzienny pot.

Zęby nie psułyby się od słodkiego powietrza
rozpływającego się w ustach i zabezpieczającego płuca

przed strachem. Noce byłyby pewne i bezpieczne,
a ubrania zbędne, bo nikt nie musiałby zakrywać

tęgo, jaki jest naprawdę, co kształtuje. Czas
pływałby spokojnie po ludzkich twarzach i dłoniach.

Piąta pora roku pali się do tego, by zaiśćnić,
ale jakoś nie chcemy jej odkryć. Ubieramy się

szczelnie lub pokazujemy to, co powszechnie znane.
Przychodzimy nie w porę i nie zachodzimy za skórę

daleko, daleko, w sam środek podświadomych żniw.

Matgorzata Osowiecka

Artyzm jest na początku wiersza, gdzie tkwi idea, a nie ma ani jednej kropki. Jest emocją odczuwaną przez konkretną osobę, tylko w określonym momencie, miejscu i czasie, czasami niemożliwą do opowiedzenia innym. Kiedy patrzysz drugi raz na most Brooklyński i płaczesz, przez całe sześć godzin, tj. 21600 sekund, w samolocie do San Francisco i w nocy na pustyni, kiedy oblepiają cię małe muszki, a ty patrzysz na Krzyż Południa, kiedy pijesz wino śliwkowe w zimie przy Stonehenge aż do zachodu i kiedy słyszysz z radia gdzieś na autostradzie przy Vegas „to jest dobry dzień, by zacząć od nowa”, i wiesz, że to o tobie, kiedy patrzysz na Uluru i widzisz pomarańczowy krajobraz ze swojej książki. I potem, kiedy przypominasz sobie te chwile i one są poza czasem, a nawet poza kartką: to momenty, które tworzysz i które cię przebudowują.

Dom tam został

Milion mnie
przy oknie, łóżku, wchodzących do domu, opierających się
o drzewo, za drzewem pies.

Milion mnie
wstecz, za formalnościami, chorobami, piorunami uczuć
i samotności
gram w to samo, rzucam patyk psu, rosa odbija nam się od stóp.

Milion mnie
trwają chwile, różowe trawy, żółte nieba, kolory świata i myśli,
wciąż nowe ujęcia.

Nie obchodzi mnie jutro, ciekawi
wczoraj. Czas jest tylko
kwestią, wypowiadam ją i jestem tam.
Jeden świat, milion powrotów.

Nie jesteśmy sobie pisani

Literowałam połykałam studiowałam chłonełam
nas dwoje: mam dwa serca – miłość
pokrewieństwo dusz – przyjaźń
jedność oddechów – wszystko.

W różowych okularach czytałam o nas, a tęczowe słowa bledły, aż
„nie” przeczytałam głośno,
zabrzmiało tępo,
nawet nie zgrzytało
między nami.
Odłożyłam „nie” na biurko
do naostrzenia, żeby zabolalo szybko,
jak kartka tnie palce.
Skończony tezaurus bez nazw na to, co
wspólne, wyrzucam do kosza.
Nagle nie mogę przeczytać więcej niż
ciszę.

Nienawidzę

Nienawidzę:

poniedziałków wtorków śród czwartków piątków sobót niedziel
wstawać o szóstej ósmej dwadzieścia dwunastej nie spać
deszczu słońca księżycy śniegu wiatru
poranka pachnącego mgłą ludźmi w autobusie mrokiem
świata pod nogami obok oczu w kraju za granicą na Syberii
spaceru na przełaj na pociąg po psa z kotem pijanie
patrzeć w oczy okna lustra na siebie
wszystkiego na jawie co się jawi jawić się
być.

Obojętnie

w pokoju jestem
silna, kiedy idą po schodach.
Cierpliwie liczę kroki, oddechy i własne słowa, bez echa.
Leżę
do kolejnych kroków.
Pięć tysięcy słów, trzy tysiące uśmiechów
mogłoby ich być tyle.
Osłabiona czekaniem
nie mówię, coraz mniej ludzi
we mnie.
Kiedy ćwiczę usta, cuchnący opar pokrywa
dni, podobne do życia.
Aż kroki na schodach zleją się
w ciszę.

Obojętność

Znasz miejsca skąd przyszedłem

Znasz miejsca skąd przyszedłem
kształty stóp
od których tysiąc ziarenek piasku
nie jest już dziewicze.
Końcówki włosów
rozdwojone
między Arktyką a Tajlandią.
Pod skórą
milion małych słońc równika wybucha co chwila
płonę w każdym.
Zanim wyruszysz ze mną
idź za mną.
Zmierz moje ślady
uczesz moje włosy.
Polej wodą
serce.
Zanim pójde podpal wszystkie świty
dmuchaj w wody oceanów
zlej horyzont z ziemią
i pokaż.
Nie są takie same.
Znasz miejsca skąd przyszedłem.
Mnie nie znasz.

Aleksandra Sprengel

Co drugie, czwarte, co tysięczne mrugnięcie oka przewodzi obraz wyraźniejszy niż zwykle. Co któryś dźwięk wpada do ucha, ale odkłada się w najczulszych partiach Wnętrza. Nie zawsze, ale czasem, i o tych przypadkach jest tu mowa. Coś pcha nas do tego, żeby to łaskotanie z siebie wysupłać, przetłumaczyć i przedstawić Zewnątrz – w którejś z lepiej przyswajalnych dla niego form.

Morfologia niebajki

rycerz w zbroi zbroi
księżniczka z wieży zwierzy
łzy złemu czarnoksiężnikowi

Świetność

serdecznie wygląda zapalająca znicz
dłoń z rolexem
znicze są dzisiaj gówniane
rolexy długowieczne

Architektura krajobrazy

kolumnada z poziomym pałowaniem
głowice w stylu jońskim, więc swojskim

bogato zdobione portale,
co piąty łuk dekoracyjny
uchodzi
za konstrukcyjny

elewacja wschodnia (frontowa)
elewacja zachodnia (tylna)
na skrzydłach
tu i ówdzie
ślepy maswerk

*na podstawie wymienionych cech
podaj nazwę stylu architektonicznego
i ramy czasowe*

Anika Fabtońska

Artyzm to poszukiwanie indywidualnego języka estetyki, który najlepiej definiuje duchowo-intelektualne poruszenia. Jest efemeryczną manifestacją wrażliwości wnętrza, utrwaloną za pomocą specyficznych środków wyrazu. Wirtuozerskim lustrem, w którym przegląda się osobowe Ja i otoczenie. Odbiciem doskonałej idei, powołanej transgresją twórczą.

ko.bi.m.eta Halleya

chcę, co mówisz, przyjąć do serca
włożyć w siebie te słowa
choć niepełne i niedbale zachowane w pamięci

chcę je w siebie włożyć
zanim ułożysz mnie do snu
i zanim wszystkie światy scalone w jeden
będą mistycznym symbolem
ukrzyżowanym przez ciemność na ścianie

ta noc wkłada się w białą bieliznę
rozpuszczając ciało we fragment gwiazdy
taka gwiazda jak ta
nie kończy się i świeci

mężczyzna w ogrodzie

mężczyzna kocha ciepło
zbiera je do ust z płatków wilgotnej róży
dłońmi obejmuje białe pączki

kwiat otwiera się jak okno na świat
wiejąc solarnym wiatrem mikrokosmosu
przez żaluzje (odgarnia je) wpada obce, płynne światło

od momentu, kiedy cała jest czułością
ogrzewa skorupkę jego serca
wydaje mu się, że patrzy w środek lata
a nawet całą czerwcową łąkę, kwitnącą w noc na raz

to nie są paprocie
a miśtyka, która się dzieje
spływa jego rzeką, po kryształach jej ciała
morze podmywa organiczne brzegi

przygarniasz ją jak kota, dzikiego i małego
którego nikt nie umiał ugłaskać

jeży się, próbuje tego i uśmiecha się
na język bierze słowa, smakuje ich słodycz
zamiera w pół chłodem zakłęb

tutaj, na skraju brzegów snu, dotyka głębokiej szarości
rozpiętej płachtą nieba
gdzie sitowie składa pokłon stopom rusalek
smagane wiatrem z północy

potem oczy przymknięte poruszeniem
dłonie tak daleko wdarte w brzegi ciała
nie ma znaczenia czyim to oddechem
a jeśli Twoim to: tytoń i odrobina nieba

ta nieznajoma śmierć przy Tobie

czas przyczajony nad jej piersiami wzdycha
małymi kroczkami udeptuje jej ślady
i kurczy w praniu bluzki

na jej dłoniach maluje proste, krzywe i pokątne ślady
jakby był mrozem odbijającym dźwięki swojego krzyku na
zmarzniętych szybach

powoli kładzie ją do łóżka, w coraz bardziej odległych snach
zostawia
nie pamięta ile czasu ma jej serce nim ucichnie

kto by to niby wiedział

Twoja sukienka w kwiaty głośno krzyczy
ludzie patrzą na Ciebie jakby słyszeli śpiew Twojego ciała
zdejmij ją proszę
chcę zobaczyć Twoje nagie milczące kształty
ukochane w ciemne płatki róży ust
dotknięte cierniami odcisniętymi na piersiach
zostaw to morze łez
gdy śnią się wszystkie inne światy
w noc płonąca jak ta – nad Odrą

Monika

Stępień

Sztuka – to słyszenie i dostrzeganie tego, co zapomniane,
ukryte, wykluczone; to odrzucający rozdmuchane przemyślenia
o wydmszkowych sprawach ukłon w stronę jakości i intelektu;
zabawa słowem bez sztucznie paradnych girland zdań.
To uważność, odwaga i pokora.

Kiedy liczę do dziesięciu – jestem nieobliczalna
jak patyk w rękach dziecka.
Ty stoisz i patrzysz na mnie
a w oczach masz Las Vegas.
Umieszczam tam nasz prywatny dom opieki.
Mamy w nim zrośnięte usta. Od wielu lat
do krzyczenia wystarczy nam tylko głowa.
Osiedla spojrzeń odrzucających
punkt widzenia drugiego. Z balkonu rzes
rzucamy się w otchłań do widzenia.

Kiedy liczę do dziesięciu – napotykam domu kopułę
pod którą wszystko nie po kolei.

Od jego spojżenia w deszczu robi się jej mokro.
Nie śpieszą się. Przechodzą powoli sobie przez myśl.
Będą opowieścią rozciągniętą w nieskończoność
na terapeutycznej kozetce.

Lekarz w karcie napisze:
Pacjent dzisiaj nieczynny. Remanent.

Pogwizdując przyszywam sobie ciebie do oka.
Dreszcz przesywa prostym ścięciem ścięgien
gładki wykrój. Łydek i palców
rozciągnięcie jakby każda z części ciała budziła się oddzielnie.
Stopy bolą
przez całonocne odchodzenie od zmysłów. Odczuwam dystans,
który nie pozwala mi dotrzeć po nitce do pępka.
Tylko jedna podszewka chroni bebechy przed poczuciem skóry.
Tłusta
maź stabilizująca drgania.
Nitka pęka. Przez szparę w powiece wypada głowa.
Mam w niej na myśli psa
i śpuszczam go na Ciebie.

Aleksandra *Krzyżaniak*

Mówiąc o sztuce, myślę o czasie, w którym dzieło autora – osiągając swoją ostateczną formę – staje się sztuką. Proces ten zaczyna się od twórcy i jego pracy, a realizuje w zetknięciu z widzami. Efektem konfrontacji odbiorców i dzieła powinny być emocje, refleksje i dyskusje, a ich wynikiem autonomiczne funkcjonowanie dzieła, wykraczające poza ramy narzucone mu przez autora. Jeśli dzieło po latach nadal intryguje, a jego obecność jest nieodzownym elementem kultury, możemy spodziewać się, że mamy do czynienia z sztucą.

Wyciekają ze mnie skrzepy

Miałam 12 lat za pierwszym razem
tego dnia nosiłam niebieskie spodnie
na pośladkach miały małe kamyki
wgniatały mi się w skórę kiedy siedziałam

była wtedy końcówka czerwca
prowadziłam galę na koniec roku
Szymon zapomniał swojej kwestii
nikt nic nie zauważył

boli mnie brzuch powiedziałam koledze
6 lat później jak wracaliśmy do domu
on wiedział dlaczego ja nie
to zawsze jest dobre wytłumaczenie

Wagon 11 miejsce 64 środek

Pan dwa siedzenia obok właśnie wyciągnął kanapkę
przeźroczystą 2 m na 1,5 wypełnia się
pasztet pomidor chyba kiszony między białym chlebem
starsza pani w rogu zmarszczyła nos nad „Twoim Stylem”

ze śmietnika pod niedomytym deszczem oknem
wystaje folia po batoniku
niebiesko-żółte odbłaski pekapeowskiej kanapy
refleksują się w niej nie rażąc po oczach

przedział nie jest pełny tylko zaciśnięty
zielone torby walizka plecak rozdymają wnętrze
nie mogę ruszyć nogą bo nadepnę
podłokietnik jest wąski i wrzyna mi się w bok

Jane Doe

Siedziała niedaleko mnie w pociągu
dwa rzędy w przód po prawej
nie haczyła niczyjego wzroku

chciałam ją opisać
odcisnęła się na mnie jak pieczętka
ale nie pamiętam jak wygląda

innym razem już w tramwaju
chyba 14 w kierunku Górczyna
mignęła mi kupująca bilet

wczoraj obudziłam się z głową w nogach
z dłońmi szarpiącymi prześcieradło
chyba mi się przyśniła

Pani bierz póki dają

202980 minut minęło od moich urodzin
o 8.31 zadzwonił pan z prezentem
specjalna okazja tylko dla pani
telefon z tabletem jeszcze internet
tylko 69 zł miesięcznie
niektóre rzeczy są bezcenne
za wszystkie inne
zapłacisz kartą MasterCard

Borys Róg

Według Roberta Creeleya „poezja odmawia swojego zakończenia w *akcie opisowym*, to znaczy jakimkolwiek akcie kierującym uwagę poza wiersz”. Artysta i odbiorca wspólnie operują na materii podatnej na kreatywny *szum*. Mnogość perspektyw zagłusza prawdziwą, *czystą* formę dzieła; istotę sztuki, *artyzm*. To, co odnosi się do siebie i na tej metarelacji buduje swoją wartość, jest *najprawdziwsze* w kategoriach sztuki.

Punkt starcia

z pewnym chwytem szkła
mówi, wnioski należy czerpać
z porzuconej studni

wlewane między kostki lodu słowa
odbijają się od dna
przywoływane przez pamięć:

wychodzę im
naprzeciw
naprzeciw
naprzeciw

Pożądanie

patronem naszych rozmów są gwiazdy

wybuchające w układach scalonych supernowe
które wessą wszystkie stracone godziny –

ot osobliwość:

ciemny punkt na ekranie

skrzywiający przestrzeń myśli.

Ofiara

ciało
wypadłe z obiegu snu płynie
przez komin w górę nieba
lżejsze od dymu papierosowego

jak wygodna jest przestrzeń między górą a dołem
gdzie mieści się ta właśnie ilość zbawienia od
gruntu pod nogami

wbite w korpus wskazówki zegara ściągają go na powierzchnię

walka potrwa do rana

Prognoza

wiatr wywalił z ram okna
krusząc pod postacią niepokój miasta –

okruchy świateł na parapecie
i wbite w dywan godziny.

łózkowe batalie dobiegają końca,
więc zwalniam.

strugą
cieknie
puls

O nas

może nie umiem pisać jak Różewicz ale
umieć kochać o czwartej nad ranem tak
mocno aż rzygam do umywalki
– a potem trzeba iść tam gdzie
wiszą ciała pod czarnym sufitem
i kupić pół kilo bez kości
dzisiaj zrobimy bitki

Mateusz

Szopka

Artyzm to po pierwsze styl, płynne ruchy, coś, czego nie da się podrobić, wykonać podobnie. Nawet pijak może mieć styl, w tym, jak się potyka, tarza w rynsztoku. Lewy sierpowy Sugar Raya Robinsona to też artyzm. Znaczenie tego słowa jest tak abstrakcyjne, że daremne jest jego opisywanie, to się czuje i już.

Artyzm nie ma granic, początku i końca, po prostu jest. Po drugie – to tworzenie i bycie w tym od stóp do głów. To uczucie, kiedy spojrzysz na coś, co stworzyłeś, i na pierwszy rzut oka widzisz tam siebie, nikogo innego.

Nad małym miastem

Piliśmy wódkę i paliliśmy haszysz –
nasze pochodnie
nad cichym, małym miastem
i lataliśmy jak
smukłe ręce pianisty
po kości słoniowej.
Nikt nie mógł nas dosięgnąć,
a sami spadliśmy.
Rozszarpali nas i
dryfujemy teraz w niebycie,
wyczekując gorzkiego
końca.

Ledwo ludzie

Zaciągnąłem ją pijaną do siebie
i nakłoniłem,
by dała się zerznąć.
Wyjąłem więc swojego małego fiutka
i skończyłem w 5 minut.
Po czym odpaliłem papierosa w oknie
i tam, na mahoniowym parapecie,
śpioniony purpurą,
ceruję ogniłą szpadą
horyzont oceanu.
To ledwo poezja,
Tak jak my
Ledwo ludzie.

Po niej

Tak bardzo chcę czuć to co wy –
śpięcie mięśni i ścisnąć to
jak pięści,
gdy ją zegnałem.
I zostały mi po niej
poszarpane i niedokończone
kartki pewnych historii,
które każdy woli odpamiętać.
A teraz czekam siedząc,
patrząc na tę przestrzeń
w dymnym pióropuszu,
nie mogę przestać wdychać.

Coś poczuć

Proszę, pokaż mi, że młodość to nie jedynie
spadający w cień złoty liść.
Chciałbym tylko poczuć coś!
co nie zrobi ze mnie szaleńca.

Patrzę na stare zdjęcia jakichś ludzi,
bardzo uśmiechniętych.

Palę kolejną torbę trawy,
tak, że już nic nie pamiętam.

Myślę o niej i o innych i
już nie wiem sam,
ile jest we mnie
różnych Ja.

Maśturbuje się z nudów,
po czym pije szklankę wódki z ciekawości,
co się później stanie.

Podobnie chciałbym wbić sobie nóż w brzuch,
ale mama mówiła, bym
nie bawił się ostrymi narzędziami.

I często chce mi się krzyczeć
tak mocno, by krew pod czaszką zabulgotała,
a szczęka znieruchomiała
i włosy stanęły dęba.

A ja chciałem tylko
coś poczuć.

Miska

Pamiętam ten dzień,
kiedy błazen zbił moją ulubioną miskę.
Żarliwie mnie później przeproszał i
robi to aż do dzisiaj.
Kupił zaraz nową, lepszą, na przeprosiny:
miała być magiczna, z Harrym Potterem,
ale dla mnie to tylko
zwykła miska,
tak jak ty zamiast niej dziś.

Weronika

Tiffert

Piękno, widzenie, artyzm – te trzy pojęcia mieszają się w mojej głowie i trudno jest mi postawić między nimi granice. Piękno – czyli to, co bez potrzeby definiowania zachwyca odbiorcę i przenosi go w inny czas, do innego wymiaru, w którym nie istnieją doczesne troski i w którym dopiero człowiek uczy się oddychać. Widzenie – a więc zdolność dostrzegania piękna i otwierania się na nie. Artyzm to z kolei umiejętność tworzenia piękna, które poruszy widzających, bądź sam czynnik powodujący uniesienie, klucz do „drzwi percepcji”. Wierzę, że tam właśnie znajduje się to, czemu najbliższej do prawdy.

I

Idą ślepi umierają w spokoju
Milczy czas biegnie
Woła cisza: zatrzymaj się!
Każda prawda jest inna
Strażnicy więziennych bram wywalczyli nam Wolność
Widzenie boli
Gdy w oczach nosisz niczyj świat
W którym żyją półśpiąco
Ludzie mówiący nieznanym ci językiem
Lepiej pozostać ślepym

II

Walcz do końca bólu
Na północ, pod wiatr
Idź z otwartymi oczami
Nie bój się
Bo wszystko jest tak samo straszne
Idź naprzód, nie szukaj
A może znajdziesz
Odpowie ci
Cisza twojego serca
Czas się nie zatrzyma
Idź proszą drogą
Śpiewając kołysankę
Gotowy na śmierć

III

I miasto
Wchłonęło mnie na powrót
Obrzydłe latami jego mury
Żółć rosy porannej
Sącząca się z porów betonowych trawników
Trędowatej skóry
Chorej macierzy
Pożerającej swe dzieci
Datheflow
Stąd nie ma drogi ucieczki
Powrót
Poprzedza rozstanie

IV

Obraz drży
Ze strachu przed moim spojrzeniem
Patrzę i drżę
Przed obrazem
Bo nie widzę

V

Stoją na granicy
Osobliwości o wielkich oczach
Połykających wszystkie światło
Więcej niż wystarczająco
Zawsze da mniej
Hazardziśta, gdy będzie grał dalej
Przegra
Nie zatrzymasz się u celu –
Zabłądzisz
Proces ewolucji dawno już się zakończył
Rozkwitnął kwiat wydał owoc
Kwiat uschnął, owoc zaczyna gnić

Wołają stojący na granicy
Nie słyszysz
Ślepo patrzysz przed siebie
Wołam: uważaj
Nie widzisz
Daleko

Sandra

Bożek

Artyzm jest dla mnie wiarą, ucieczką i kluczem do lepszego jutra.
Pisanie jest pewnego rodzaju oczyszczeniem duszy; sprawia, że uczucia
uwydatnione na papierze bądź w pliku tekstowym nie giną nigdy.
A człowiek tylko dzięki posiadanym uczuciom nie umiera od środka.
Artyzm to nadzieja. Artyzm to „sposób na życie”.

*** (kiedyś...)

kiedyś zrobię sobie większe piersi
będą zwisać na ścianie
jak święty obraz
a kot będzie doić mleko
jak z wymienia największej krowy

kiedyś stanę się najślawniejszą malarką
moje obrazy będą wisieć na ścianie
w największym muzeum
świata a wszyscy turyści
będą patrzeć na mnie jak na boga

kiedyś nauczę się jeździć na hulajnodze
przejadę wszystkie mrówki życia
chrząszcza brzmiącego w trzcinnie
drewnianego jak w Szczebrzeszynie
hulaj dusza piekła nie ma

kiedyś stanę się kopią samej siebie
działającą nadal wbrew

nieświęty Facebook mnie (nie)
pokona

*** (żyjemy...)

żyjemy w takich czasach kiedy
śmierć jest totalną abstrakcją tabu
kot potrafi nasrać do kubka z kawą
Bóg nie rozumie wierszy ludzie w sumie też
pije się cytrynę z soku
czyta się od prawej do lewej
je się kubek zimnej wiosny
i przedawkowuje niechęć z chęcią

żyjemy
wszystkie nasze członki gniją
i hen daleko jest nasz krzyż
mamy swoje alma mater
ad victoriam

każdy ma swoje melanżcholie
proporcjonalne do choroby
psychosomatycznej

każdy ma swojego życiowego
okupanta

ale nikt nie ma wieczności

Diss na współlokatorkę

Mam fobię przed niedomykanymi drzwiami
Wrażenie
Że za chwilę wejdzie potwór
Albo gestapo
Mrozi krew do tego stopnia
Że mam ochotę wypruć sobie żyły
Cyrklem

Wolę spadać oknem niż drzwiami
Nie ma lekkiego lądowania z czwartego piętra
Pnia mózgu
Boli bardziej szybciej

Zamykaj drzwi i okna
Orłów nie ma
Nie wylecą
Może wlecieć jedynie
Schutzstaffel mieszkania
By nakazać śpieprzać
Gdzie pieprz wieprzem rośnie

I tak żyjemy w próżni z tlenem
Własnym
Nożyczkami powodujemy napływ powietrza
Z Bliskiego Wschodu
Zjedz snickersa
I jedziesz dalej

Życ mi się nie chce
Wszystko przez niedomykanie drzwi i okien

Fotograf?

– czy Ty jesteś fotografem?
– nie no, co Ty, co Ci się przyśniło?
U najlepszych fotografów modelki
Występują w najbardziej zbereźnych aktach
Jakie świat widział
Wyjęte z porno-kosmosu
Wampiry chodzą po ludziach
Mrówki po odbycie
Szczyry po sercu
A węże po genitaliach
Ja robię tylko krajobraz
Tła natłoku i persony
Nie obcuję ze zwierzętami obcymi
Nawet nigdy nie widziałam UFO
Jestem prostym ludkiem
O machinalnym sercu
Który nie widział jeszcze wielu rzeczy
Ale jeśli coś widział – to za dużo
Stopklatka
Wyimaginowanej ostrości słów
Czy ty nadal twierdzisz, że
Jestem fotografem?
Sam sobie bądź

Ale nie w tym życiu

*** (jestem ostra...)

Jeśćm ostra jak żyleta płuc
Nie wiadomo
Kiedy potnę na kawałki wszystkie płaty oddechu

Jeśćm wrażliwa jak skała
Zdarza mi się jednak
Ukruszyć ją w piach wylany cement dla fundamentu

Jeśćm miła jak cierń
Chciałabym
Poznać egzystencję fiskalizmu duszy

Jeśćm chorobliwym pijakiem jak Mela(n)
Mam kaca moralnego
Na punkcie każdej istoty rzeczy

Jeśćm oschła jak wczorajszy chleb
Mimo wszystko
Kocham GO najzwyczajniej na świecie i nie potrafię
Dłużej siebie okłamywać

Nie da się być wszystkim
Nie da się być niczym

Ktoś w niebie
Zrobił złą prezentację mnie
I teraz śmieje się
Wniebogłosy

Wyjdę Ci naprzeciw

Bartłomiej Kuczkowski

Trzecie miejsce w kategorii poezji

Artyzm to szczególna jakość, która jest doświadczana przez człowieka w jego kontakcie z niektórymi dziełami sztuki, ale niekiedy też ze światem i innymi ludźmi. Szczególna dlatego, że wymaga od odbiorcy specyficznej postawy. Gdy chodzi o sztukę, jest to postawa pozbycia się uprzedzeń w kontakcie z dziełem. Trzeba umieć pozwolić sobie na doświadczanie w ten sposób, w który wstydzimy się sami przed sobą odczuwać zewnętrzny, pozornie „pozaartystyczny” świat. Jeśli zaś mowa o artyzmie drugiego człowieka, to sądzę, że odczuć można go wtedy, gdy odnajdziemy w sobie: 1) uważność, 2) nastawienie poznawcze na szczegół, 3) czułość. Myślę tu zwłaszcza o czułości dla niedostatków, osobliwości, słabości, śmieszności w innym. Wierzę więc w artyzm jednego nawet gestu, spojrzenia, zachowania, melodii mowy, wyboru słów...

I

Ani razu nie spojrzełem w okno
Kiedy mijaliśmy twoją stację.
Nie wiem, czy tam paliło się słońce
Ale parzyła mnie mokra kurtka
Ze starością pustego rękawa.
Długo musiałem potem tłumaczyć
Że te dwie złote smugi pod spodem
Są to latarnie za semaforem.

II

To już przeszło pół roku
Jak żółwie zamieszkały na wyspie
Ze zużytego błękitu i kurzu.
Kraj należał do chłopca
Dotykał ich zielonych karapaksów
Jak najcenniejszych skarbów.
Wśród zielonych był ten jeden inny
I jej rude włosy pod rudym pancerzem.

III

Sznurowadła piją wodę z kałuży
Drażnią się ze ścieżkami
Sznurowadła łypią spode łba
Na przesmyk między twarzami
Zbierają po nas błoto
Drżą przecutym strachem
A czasem sądzą tylko z daleka
Jak milczący ławnicy.

Przedwczoraj
Zmieniając sznurowadła
Wyrzuciliśmy
Ostatnich świadków.

IV

Nikt nie uwierzy, że duch ukrył się w gitarze
Grał nieznośnie, szkolnie, akcentował basy
Wzlatywał biały kurz, nie milknął.
Modlitwa przykuła do pościeli
Znać było samoloty na pasie ulicy
Ich pajęczce odnóży, ich gąsienice
Mszczą się, to pewna, że Cię im oddałem
Że już nie powiesz: ich nie ma. Ja jestem.

V

I tylko boję się, że kiedyś
Przyjdą powiedzieć: dosyć.
Gdy zabłądzą w korytarzach
Z rurami, z białymi kaflami ścian.
Przyjdą, ja będę siedział przy stole
Powierzę się kucharzom, garsonom
Spojrzą i znowu każą się wstydzić
Stołu, usł, wyrazu, myśli, wzroku.

Lidia Karbowska

Drugie miejsce w kategorii poezji

artyzm to dla mnie: śpisywanie rzeczywistości, rejestracja
szczegółików, trywialnośtek. sposób na osvajanie, radzenie sobie.
filozofowanie – frywolne, bez stabilnych punktów podparcia/
/dojścia. patrzenie pod światło, próba metafizyki –
ułamnej, chybotliwej.

e-enternity

co wpisujemy
w swoje przeglądarki, co
przeglądamy, w czym się?

–

wiesz, to wszystko się gdzieś
zapisuje, gdzieś
pozościaniemy

disco for you

*aj aj aj, co masz
w sobie, to mi daj*

ram pam pam, czarne
cierpkie, to ci dam

new day, new life

you know how I feel, don't you? nie wyobrażam sobie,
że idę z tobą na randkę, ani że w ciemnej pościeli uprawiamy
miłość. wyobrażam sobie, że trzymam cię w ramionach
jak dziecko, a potem upuszczam na posadzkę

jak dziecko. właśnie tak się czuję, jednym słowem: okej

Zachodzące

A mi nie chce się umrzeć? Też mi się umrzeć chce.
Umrzeć w znaczeniu: nie wypływać więcej
na te zachodzące jeziora.

Nie miała nic oprócz tej miłości, a teraz ma tylko
ponurą rezygnację i to ją tutaj trzyma –
tak mówiliby do siebie ci ludzie,
gdyby do siebie mówili.

6.21

A ty byś, dziewczynko, nie zastrygła?
Tu nie tyle chodzi o przepaść, ile o brak mostu,
czaisz tą metaforę? Bo ja zupełnie, ale to
zupełnie jej nie czaję, i w tym nieczajeniu
jadę sobie właśnie warszawskim tramwajem
i, doprawdy, nie ma się czego chwycić
(a tą, he he?). Także byś, dziewczynko,
ale o tym chyba nie warto.

Łukasz Kaźmierczak Łucja Kuttig

Pierwsze miejsce w kategorii poezji

Definiowanie przeze mnie artyzmu na tym etapie mojej ścieżki twórczej wydaje mi się butą, moje pierwsze skojarzenie dotyczy jednak pracy: polegającej na skonstruowaniu treści na podstawie książek, sztuki, nauki, wszelkich inspiracji; a także na szlifowaniu formy.

Forma konstituuje bowiem rodzaj komunikacji z publiką: odbiorczyniami/odbiorcami, krytyczkami/krytykami, docenienie zaś z ich strony może odróżnić artyzm od grafomanii, dyletanctwa, wtórności.

W ten sposób artyzm oznacza w mojej opinii konglomerat talentu, samodoskonalenia i ciągłego dialogu; w tym zestawieniu decydującą rolę wydaje się odgrywać otwartość na metaforę, niedookreślenie, niedopowiedzenie, pozostawienie przestrzeni na liczne reinterpretacje oraz na obcą recepcję.

rozjaźń

mowa ciała jest przeznaczona dla
pięknych ludzi skąpanych w odżywczym
promieniowaniu gwiazd i aparatów
dla introwertycznych wiedźm zostają
jednak lampy ultrafioletowe *ultraviolet*
ultraviolece zawsze myślę widmo
spektroskopu z widmem przeszłości

w zimowym semestrze na analizie
funkcjonalnej poznamy twierdzenie
kwitujące całą moją niewiedzę z
matematyki w jednym spektrum
dowód zaczyna się od machania
rękoma ponieważ wtenczas lepiej
wychodzi wypowiedzianie abrakadabra

blogerka upomina mnie że za dużo
ruchu oznacza braki w słownictwie
po czym wychodzi na izmirski deptak
mówić w pięciu językach płynnie tak
jak gładko przełykam ślinę ze współrzędnymi
słońca na drodze mlecznej na gdzieś
zagubiony sposób w połamanej składni
na źle artykułowane samogłoski
tak bywa kiedy złamana miotła
przypomina mi że nie polecę a
jedynie zamiotę swoje równie
porozdwajane włosy

ciasto francuskie

zapach pieczenia słodkiego ciasta miesza się
z papierosami oraz przegrzаныmi silnikami samochodów
trzydzieści pięć oznacza tutaj rześki dzień z wiatrem
od morza i wstęp do nowych lat w dorosłości
niż do zera bliżej mi do pięćdziesiątki – mówił
każdy z klubu dwadzieścia siedem

muchy pomagają mi pisać kartki pocztowe
stawiając kropki czarnym tuszem blogerka
radzi że to należy po prostu przeczekać jak
spogląda się na płynące chmury bez obecności
i bez współdziałania tylko zamiast
błogości ma przemijać rzewność

jedyna oczywistość z jego strony to powierzchowna
uprzejmość oraz ignorancja gdyż na co więcej
mają liczyć więdźmy choćby po zmroku i w ułożonych
włosach z zapachem kwiatów i aloesu za uszami

po-rozstawanie

na energię wszechświata *aga* otwarła się przede mną
porzuciła filtry w papierosach najlepsze nawet suplementy
diety kieliszki plastikowe kubki na rzecz lejkowatych butelek
oraz interpunkcję choćby w wykrzyknikach czy wielkie
litery z ich autorytetami

mocno zaciąga każdy tytoń czego nie nauczę się
biernym paleniem i nie chcę wyciekać tak suchymi
łzami do środka jak *aga* w ośrodkach dla łódzkich dzieci
ulicy przy gitarze ze strunami brzdąkającymi o pieniądze
na każdoroczną podróż na gapę na woodstock

na energię wszechświata *aga* mówi że otwierać się
trzeba przez ludzi i dość długi okres aż do wtedy
gdy puszczają im nerwy oraz nie ma co żałować palenia
moستów w reakcjach silnego utleniania i redukcji
kupuje podówcza płyn do naczyń o wysokim pH
ponieważ musi dobrze zmyć peelingsi z kwasów
nukleinowych pozostałe na obtartym naskórku
po wszechświecie który czasem lubi się walić

paść

wypadki na ludzkie ciało wymagają większego
wyczulenia na obcą kulturę osobistą która
w zależności od regionu na ciele różni się
tym co wypada a czego nie przystoi drążyć

wszelkie ludzkie wypadki mogą wynikać
z wymuszenia pierwszeństwa racji jazdy
albo władzy mocniej upadam
gdy nie zdążę wyhamować

podróż zaczynam od języka oznajmiam
że wchodzę w gorącą wodę lecz to i tak
nic nie daje ponieważ po ciele przechodzą
dreszcze oraz nieznanne fale dźwiękowe

nauka potrzebuje dowodów z wielu stron
kiedy człowiekowi wystarcza przesłanka

anioł pański

kościół lubię odwiedzać turystycznie:
wchodzę wychodzę i nie zapisuję
się w księgach ani na tacę

mamy przeciwne odcienie skóry
lecz ten sam brak swojego miejsca
tylko język podróżujący po obcych
konstrukcjach frazeologicznych na gapę

przemysł turystyczny zamienił gościnność
w usługowość a ścielenie łóżka i podawanie
posiłków w element klasowych potyczek
ręką o filiżankę z kawą której się nie
śpierz z białych ubrań

po podróżach osiedle wita mnie dymem
ze śpalanych śmieci od którego łzawią mi
oczy a ludzie myślą to z nostalgią

Proza

Bartosz

Rogala

Trudno powiedzieć, czym dokładnie jest artyzm. Wiem jednak,
że jego części kryją się we wszystkim, z czym się spotykamy.
Warto więc odrzucić swoje przyzwyczajenia
i zdać się na artyzm życia codziennego.

Kalendarium ojca i syna

Z ojcem w tamtych czasach prawie się nie widywałem. Ludzie w mieście plotkowali, że co dwa lub trzy dni zjawiał się późnym wieczorem w lokalach, gdzie chętnie polewano mu alkohol. Mówił o czymś Nowym, Genialnym, lecz nim na dobre wyjaśnił, jaka świetna myśl go nawiedziła, zsuwał się z krzeselka i chwiejnym krokiem szedł rozglądać się za podwózką do domu. Choć już kilka lat minęło od upadku dworku, bezustannie kazał wieźć się na Sowjyce. Mocą daną tylko plotkom dorożkarze kojarzyli „tego Skowrona” i odwozili ojca pod odpowiednią kamienicę.

Matka, o włosach tylko prostych, zupełnie przestała rozmawiać z ojcem. Nie mówiła przy mnie o nim żadnego złego słowa, dobrymi oszczędnie się dzieliła, ale kilka razy widziałem, jak energicznie pisała list, jak dawała go Eugenii do polecenia na pocztę. Początkowo pisywała rzadko, lecz w pewnym momencie stało się to jej nałogiem, zupełnie jak ojca – alkohol.

Trawiony przez wódkę i niemogącą wydać plonów pracę, ojciec znalazł kochankę. Matka w tym czasie pisała po dwa listy dziennie, ponieważ tą drogą okazała się jej znajoma, niejaka pani Kobucka.

Cała rodzina chciała na siłę założyć mi pieluchę i zamknąć oczy, jednakże było za późno. Dowiedziałem się. Dowiedziałem się, będąc na spotkaniu u pani Kobuckiej, z której córką chciano mnie zapoznać. Julia, bo tak panience było na imię, była wiernym odzwierciedleniem swej matki. Te same brązowe włosy opadające kaskadami na plecy. Identyczne oczy w kolorze świerkowych igieł. Lekko zarysowany podbródek, wypukłe policzki, stanowiące plac zabaw dla zabłąkanych promieni światła. Kopia, rzekłby każdy. Ledwie zarys matki – powtarzałem co spotkanie.

Unikałem kobiet na równi z odpowiedzialnością, ponieważ – choć nigdy nie powiedziałem tego na głos – zawsze łączyłem te dwie sprawy. Dlatego oddawałem się pracy, ignorując słowa ojca, nagminnie łamiącego wy-

dawane przez siebie rozkazy, by nie dopuścić do zabrania głosu Tych Myśli. Jednak im człowiek bardziej stara się zagłuszyć niechciane sprawy, tym te zyskują silniejsze kłaczka, pełne cierni zahaczających o duszę, rozcinających osobiste zakazy z dziką ochotą. Te zaś jątrzą się, rozlewają słodki, uzależniający nektar zwany różnie: Chucią lub Namiętnością.

Pierwszy raz dotkliwie zahaczyłem o cierń właśnie wtedy, kiedy z pokoju pani Kobuckiej wyszedł ojciec. Zapinał koszulę, wzrokiem błędził za Mużą, będącą jedynie ciałem, przedmiotem służącym spełnianiu przyziemnych zachcianek. Zobaczył mnie. Jak gdyby nigdy nic wsunął buty, włożył pogniecioną marynarkę i wyszedł. Ani słowa do mnie, ani jednego do pani Kobuckiej.

Julia dyskretnie chwyciła mnie za dłoń pod stolikiem. Zerknąłem na nią. Piękna twarzyczka pocieszała. Pragnęła zwalczyć to, co mnie pociągało.

Matka tonęła w listach. Pisała ich więcej, niż Eugenia była w stanie zanościć na pocztę. Jej palce zaczęły przypominać stalówki pióra. Pisały, pisały, czasami cięły skórę przedramion ojca, który czy to upojony nienazwanym przez niego uczuciem do pani Kobuckiej, czy też zwykłym alkoholem, starał się pochwycić matkę. Nie przeszkadzało mu, że siedzieliśmy z Eugenią w salonie i wszystko widzieliśmy.

Zrzucił płaszcz na ziemię, odbijał się od ściany i chwycił matkę. Obejmował ją jak dzikie zwierzę swoją ofiarę, próbował usadowić na komodzie, ruchem ręki zadzierał jej spódnicę. Zaciskała zęby, walcząc z napadem żądzy męża. Odpychała go, wkładając w to za mało siły. Z każdą kolejną sekundą połączoną z coraz agresywniejszym zachowaniem ojca, traciła nad sobą kontrolę. Obrażała go, tłukła pięściami, a on kulił się wtedy niczym odtrącone szczenię i zamykał się w swoim gabinecie, skąd dało się usłyszeć jego przytłumiony szloch.

Nie wiedziałem, czemu te sceny miałem przed oczami, kiedy razem z Julią spędzaliśmy popołudnia nad rzeką Raną, w ulubionym miejscu, tuż pod mostem kolejowym. Pociągi przejeżdżały rzadko, raptem trzy razy dziennie, a długie lodygi tataraku pomagały schować się przed niechcianymi towarzyszami. Tylko tutaj Julia pozwalała mi się całować, szeptać słowa, które choć nie miały wiele wspólnego z miłością, cieszyły ją w pewien sposób. Po-

dziwiałem jej nagie ciało i zastanawiałem się, czy jej matka miała identyczną sylwetkę. Te same piersi o brodawkach tak ciemnych jak czekoladowe praliny w cukierni u Zelta. Skoro obie były tak bardzo do siebie podobne, pewnie nie różniły się i pod względem wypukłych pośladków, bioder – o dziwo, należących do ziemskich kobiet, a nie antycznych rzeźb.

Smakując ust Julii, pytałem się w myślach, czy ojciec czuł to samo? Czy może pani Kobucka była bardziej namiętna? A może jednak powściągliwsza?

Nabierałem wody do rąk i obmywałem nią muskane promieniami słońca ramiona Julii. Śledziłem, jak kropelki wody ścigają się o to, która pierwsza śplynie tam, gdzie mnie nie chciała dopuścić.

Dziewczyna gładziła moją brodę, wspominała, że mam podkrążone oczy, pewnie ze zmęczenia. Zawiazywała ręce wokół mej szyi, wskakiwała na mnie, śmiejąc się, że za moment oboje wylądujemy w rzece. Uśmiechałem się, zmuszając się do tego i przepraszając w myślach Julię. Za to, że nie potrafiłem jej kochać. Za to, że traktowałem ją jako namiastkę obcowania z jej matką.

Przecież tyle razy zanurzaliśmy się w wodach Rany, wymienialiśmy pocałunek za pocałunkiem, a ja nadal nie czułem szczeniackich zawrotów głowy, serce biło spokojnie. Nie czułem niczego.

– Jest ci ciężko – powiedziała któregoś razu Julia, stojąc odwrócona do mnie plecami. Tafla wody muskała jej pośladki. – Pewnie trudniej niż mi. Twoja matka domyśliła się lub ktoś jej doniósł, o to nietrudno.

Oderwałem od niej wzrok. Skoro zarówno u niej, jak i u jej matki, interesowało mnie jedynie ciało, dlaczego tak bardzo pragnąłem starszej? To niedorzeczne, niewłaściwe.

– Nie pochwalam czynów matki – mówiła dalej – ale choć w części staram się ją zrozumieć. To już czwarty rok, odkąd ojciec nie daje znaku życia. A ona zawsze była przy nim. Nie potrafiła żyć sama...

Przekleństwo naszych kobiet – zawsze musi być obok mężczyzna. Zaklinałem świat, by Julia nie uzależniła się ode mnie. Tak byłoby lepiej... Nie tylko dla mojej nie-pracy, która z takiego porządku rzeczy czerpałaby wiele pożytku, ale i dla samej Julii. Nie potrafiłem wytłumaczyć tego za pomocą słów.

Gdy mówiła o swojej matce, zobaczyłem, ile panią Kobucką łączyło z ojcem. Oboje uwielbiali teatr – on od strony kulis, ona od strony sceny, na której dawniej występowała. Lubili towarzystwo ludzi, choć w odmienny sposób –

Kobucka budziła się w grupie jak kwiat po chłodnej nocy, ojciec przebywał zaś wśród innych, by podglądać ich i ich wyuczzone zachowania. Jedno drugiemu pozwalało się uzupełniać, przybliżało do upragnionych rzeczy.

Tak jak łudziłem się, że Julia przybliży mnie do swojej matki.

Matkę zabrano. Lipcowego dnia, kiedy słońce zamierzało schować się za sąsiadującymi kamienicami, zjawili się lekarze i zabrali ją. Eugenia zanosila się płaczem, przeproszała ojca, że nie dopilnowała pani, ale nigdy w życiu, by nie przypuszczała, że ta zechce się zabić. Przecież to wbrew Bogu! Przecież... przecież...

Bóg nie miał wglądu w ludzkie uczucia, a nawet gdyby udało Mu się przedrzeć przez warstwy zasieków naszej psychiki, nie potrafiłby odczytać dziwactw, które stworzył.

– Błagam! – zawyła przeciągle Eugenia, idąc za ojcem po schodach. – Proszę o wybaczenie, ja nie pozwoliłabym... To moja wina, ale ja... Proszę, proszę, najserdeczniejszego...

Ojciec usiadł na schodach tuż przy naszym mieszkaniu, głowę schował między kolanami. Eugenia płakała pochylona nad nim, wylewając potok przeprosin. Ochryplym głosem kazał jej odejść, a kiedy ta zniknęła w mieszkaniu, poprosił, bym usiadł obok niego. Dłonią złapał mnie za tył głowy, złączył nasze czoła. Przez moment chciałem się wyrwać. Czulem od niego alkohol, nieumiejętnie skryty pod wonią perfum pani Kobuckiej; Julia używała tych samych.

– Uciekaj, Filipku. Uciekaj całe życie – powiedział przez łzy. – Może ucieczką uratujesz się przed zepsuciem? Przestałem biec i spojrz tylko, co mnie spotkało!

Brzmiało to jak bełkotliwe usprawiedliwianie się pijaka.

– Zatrzymałem się dosłownie na sekundę, by zaczerpnąć tchu i wtedy banda mądrzejszych wlała mi zawartość buteleczki do ust – mówił dalej. – Tego obrzydliwego smaku nie wypłucze nawet wódka, nieważne ile byś jej w siebie wlał. Nie osłodzą usta innych kobiet. Będzie ci się, synku, wiecznie odbijać.

Oderwał czoło od mojego, objął mnie mocno, jakbym znów miał cztery lata i upierał się, że spod podłogi dochodzą dziwne jęki.

– Obca kobieta okazała więcej zainteresowania twojej matce niż ja – mruknął, wstydząc się i bojąc powagi tych słów. – Stała się odpowiedzialna za nią... za ciebie...

Wieczorem, nim wyszedłem z Eugenią do szpitala, zobaczyłem ojca nad biurkiem matki. Czytał niepozaklejane liсты. Nie płakał, tylko mówił pod nosem: „Moja wina, jej wina, bo moja w tym wina”. Nawet jak wróciliśmy, nadal czytał. Spędził tak całą noc.

Nie kontaktowałem się z panią Kobucką, co wyjawiała mi Julia, kiedy znowu kąpałem się pod mostem. Stała do mnie plecami, bawiła się włosami, a ja rozlewałem po jej ciele wodę, dopowiadając w myślach, że w tym miejscu jej matka pewnie miała ślady po ciąży, a w tamtym może jakieś znamię. Cera pani Kobuckiej nie mogła być tak delikatna i jędrna, lecz na pewno była miła w dotyku, jeśli nie milsza. Czy linia talii też była zarysowana w piękny łuk? Najdelikatniej jak tylko mogłem badałem ciało dziewczyny, które wydawało się coraz to bardziej pociągające, ilekroć przed oczy przywoływałem widok jej matki.

– Nie martwisz się o niego? – spytała.

Wilgotne pasmo włosów przyłgnęło jej do twarzy.

– W naszej rodzinie nie potrafimy się martwić o drugie osoby – odpowiedziałem.

Uśmiechnęła się krzywo, ponieważ gdzieś w tyle głowy miała myśl, że tego genu nie odziedziczyłem.

Odwiedziłem tego lata matkę, nadal przebywającą w szpitalu. Stalówki jej palców stępiły się, tusz zasechł i tylko siłą można było go zdrapać. Nie wiedziałem, czy to jasność ścian i biel prześcieradeł powodowały, że cera matki przybrała szarego odcienia. Jakbym rozmawiał z upiorem. To, że wiecznie podkrążone oczy dostałem w spadku po niej, dostrzegłem teraz. Nie wyglądała na panią, na kogoś, kto jeszcze nie tak dawno temu rozkazywał ludziom.

Wyglądała na obłąkaną.

– Nie wrócę do was – powiedziała w pewnym momencie, przerywając niewinną pogaduszkę. – Umieramy na trzy różne choroby i doskonale wiem, że odejdę pierwsza.

– Nie możesz...

Jej wzrok przeszył mnie na wskroś.

– Niczego nie mogę! – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Nie mogę polegać na mężu, na kochanku. Nie mogę nawet odebrać sobie życia. Nie mogę o niczym decydować, bo wszyscy wkoło coraz mocniej wiążą mi gorset i dodają falban do spódnicy, w które już dawno się zaplątałam. Pozwólcie mi choć zachować resztki godności.

Po tej ilości prawdy potrzebowałam kłamstwa.

Spotkałem się z Julią nad Raną późnym wieczorem. Wskoczyliśmy do wody w ubraniach i oddaliśmy się pieszczotom. Tylu pustych słów, co wtedy, nie powiedziałem jej potem nigdy. Nie chowaliśmy się za tatarakiem, ważne było tu i teraz. Usta (młodej) Kobuckiej. Włosy (młodej) Kobuckiej. Piersi (młodej) Kobuckiej. Dwa miesiące celebrowania ciała (młodej) Kobuckiej przemieniły się w chwilę posiadania go na wyłączność.

Jej spódnica przypominała atrament niemożliwy do starcia z rąk, jednak już po chwili zsunąłem ją, a przy okazji i bieliznę. Patrzyliśmy przy tym sobie w oczy – ona z pewnym zauroczeniem, ja z nadzieją, że znajdę u niej choć przebłysk świadczący, że robimy źle, że musimy się powstrzymać.

Nie powstrzymała mnie.

Zanurzyłem się w jej ciele. Poruszałem się w rytm jej srebrnego oddechu. Piersi kochanki to unosiły się, to opadały. Nogi skrzyżowała na moich biodrach, zawiązując nieświadomie pieczęć nie do przełamania.

Trwaliśmy zespoleni przez nie wiem, jak długi czas. Liczyła się tylko ona i kopia ciała jej matki. Czując ciepło rozlewające się wraz z mrowieniem po ciele, przybliżyliśmy się do mostu. Oparła się o konstrukcję, raniąc delikatnie plecy o zimne cegły. Nasze głosy niknęły w zaroślach. Zanurzyła ręce w moich włosach, starałem się być jak najdelikatniejszy. Chwyciła mnie za mokrą koszulę. Krzyknęła – tym razem ze strachu.

Nad nami przejeżdżał pociąg – po raz pierwszy, odkąd tu przychodziliśmy. W zaroślach na drugim brzegu pojawiła się bańka światła. Zarysowały się sylwetki dwóch postaci, które szybko zniknęły, chowając się wśród drzew.

Julia długo patrzyła w kierunku przybyszy. Chwyciłem ją delikatnie za podbródek i odwróciłem ku sobie. Wymieniliśmy długi pocałunek, podczas

którego poczułem swego rodzaju ulgę. Czy była na miejscu? Nie. Co czułem naprawdę?

Nie chciałem odpowiadać.

Odprowadziłem dziewczynę pod dom, otulając marynarką. Zaczekałem, aż w oknach jej mieszkania pojawi się światło i dopiero wtedy wróciłem do siebie. Eugenia była na wychodnym, toteż nie dziwiły mnie porzucane po podłodze koszule ojca ani smród dymu tytoniowego, ale wśród tego rozgardiaszu pojawiła się woń na wskroś odmienna, niepasująca – kobiecych perfum.

Zapach matki zniknął błyskawicznie, wyparty przez ferment przewinień popełnionych w domu. W mig rozpoznałem perfumy pani Kobuckiej.

Jedyny snop światła dochodził z gabinetu matki. Wiedziony ciekawością chciałem tam zajrzeć, ale drzwi zagroził mi ojciec, zapinający guziki koszuli. Chciał coś powiedzieć, lecz zabrakło mu odwagi. Burknął coś pod nosem, zapewne mającego znaczyć przeprosiny, i wyszedł z mieszkania.

Choć scena ta trwała zaledwie chwilę, przez ramię ojca zdołałem dostrzec Kobucką. Przerażliwie chudą jak na swój wiek, o obwisłych piersiach i ziemistej cerze.

Po prostu starą kobietę.

Nie wspomniane cechy łączyły ją z Julią, tylko to, że obie były – na dobrą sprawę – mi obojętne.

Przez resztę pamiętnych wakacji nie widziałem się z Julią, ponieważ moja choroba zaczęła najwyraźniej mutować i stawać się silniejsza. Wyjechałem do Francji, gdzie chciałem pielęgnować wirusy malarstwa, ona udała się zaś do Szwajcarii, miejsca pobytu (jak się okazało) jej ojca. Starsza Kobucka została w mieście, ponieważ ponoć otwarto niemiecki teatr, a jego dyrektor szukał aktorek... do swojego życia. Ojciec w listach zapewniał mnie, że walczy z nałogiem, wziął się za pracę i tęskni za matką. Ona, biedna, rozchorowała się na Samotność. Nic nie wskazywało, żeby już kiedykolwiek znalazła na nią odtrutkę.

Magdalena Lipniak-Młyńczak

Myszę, że każdą działalność artystyczną można porównać do gotowania.

Kiedy pani (albo pan) domu przyrządzi potrawę smaczną, zdrową i bogatą w białko, witaminy i inne niezbędne składniki, a do tego tanią, to jest zaradność i praktyczność. Kiedy ta sama pani (lub ten sam pan) jest w stanie zrobić to wszystko niemal z zamkniętymi oczami, bo gotuje codziennie od wielu lat, nazywamy to rutyną i życiowym doświadczeniem.

Jednak dopiero wówczas, gdy potrawa wzbudza takie emocje, że każdy, kto jej próbuje, staje się choć na moment nieco szczęśliwszy, wtedy można mówić o artyzmie.

Paproch

Jest sobie mężczyzna. Nazwijmy go – pan Adam. Każdy zna takiego pana Adama.

Rano, kiedy pan Adam budzi się oślepiiony drażniącymi go przez zamknięte powieki promieniami słońca, otwiera oczy niechętnie i przeciąga się na łóżku, a następnie ziewa rozdzierająco i drapie po plecach. Rozgląda się po pokoju nieco zaśpianym wzrokiem, usiłując palcem serdecznym wydłubać z kącików oczu ropę.

Po kilku sekundach, kiedy opuszczą go resztki snu, uśmiecha się do siebie i wstaje z werwą, zawsze prawą nogą, bo lewą nie może ze względu na ustawienie łóżka – pan Adam, jak co rano, uświadamia sobie ten fakt, zerkając na znajdującą się po jego lewej stronie ścianę, i niezmiennie wprawia go to w dobry nastrój. „Ma się ten zmysł feng shui czy innej szui!” – myśli wielce zadowolony z siebie pan Adam. – „Sam Mahatma Gandhi lepiej by tego nie wymyślił!”

W pokoju nie ma nikogo, kto by go uświadomił, że feng shui to tradycyjna praktyka chińska, Mahatma Gandhi pochodził natomiast z Indii, dlatego nie niepokojony mężczyzna otwiera na oścież okno i zaciąga się głęboko przyjemnym, ciepłym, czerwcowym powietrzem.

Panu Adamowi, przyglądającemu się dokazującym w pobliskich krzakach wróblom, przychodzi do głowy, że mógłby tak stać i patrzeć przez cały dzień i w sumie ma szczęście, bo jest wolnym człowiekiem, i nikt nie zabrania mu w taki właśnie sposób spędzić czasu.

W pewnej chwili mężczyzna zerka na zegarek i zapomina od razu o wróblach, o Mahatmie i nawet o swoim niebywałym szczęściu – wskazówki suną bowiem po tarczy nieubłagane, informując, że jeszcze chwila i pan Adam spóźni się do pracy.

Całkowicie wolny mężczyzna, mogący spędzić czas, jak tylko mu się podoba, biegnie galopem do łazienki, nawet nie zasuwając za sobą firanki.

Piętnaście minut później, po zjedzonym w biegu toście z serem i tęczką pod pachą zatrząskuje za sobą drzwi mieszkania. Tuż po wyciągnięciu klucza z zamka sięga dłonią do ramienia i strzepuje z niego niewidzialny paproch.

*

Pan Adam dociera na przystanek nieco zasapany, ale zadowolony – udało mu się nadrobić stracone minuty i teraz już nie musi się martwić, że będzie miał nieprzyjemności. Odstawia neseser na ławkę i poprawia krawat, który podczas biegu trochę się przekrzywił.

Mężczyzna doskonale wie, o której godzinie odjeżdża jego autobus – ma jeszcze kilka minut; a więc, by zabić czas, staje przed rozkładem jazdy i studiuje go skrupulatnie, mrużąc oczy i przeklinając w duchu drobną czcionkę.

Rozmaitość kursów wprawia go w zachwyt. „Kiedyś nie było tylu numerów” – myśli, kiwając głową z uznaniem. – „Czasy się zmieniły. Teraz człowiek w ogóle nie potrzebuje samochodu, wystarczy mu komunikacja miejska i dośwanie się wszędzie. Praca? Proszę bardzo, dwa numery. Hipermarket? Trzy. Centrum? Prawie wszystkie”.

Pan Adam przekręca głowę i przygryza wargę, analizując rozkład w skupieniu. Studiuje listy przystanków i prędko dochodzi do wniosku, że on sam równie dobrze mógłby się dostać do firmy minimum dwoma różnymi środkami transportu oraz czterema różnymi liniami. Mężczyzna jest zachwycony, że ma taki wybór – dzięki niemu rano w sumie nie musi się śpieszyć i może podziwiać wróble i słuchać śpiewu słowików, bo niezależnie, o której porze zajdzie na przystanek, trafi na pojazd, który zabierze go dokładnie tam, gdzie chce.

Podjeżdża jeden z tramwajów, którym pan Adam mógłby swobodnie dojechać do pracy, a zaraz po nim następny, innej linii. Mężczyzna nie opuszcza jednak stanowiska pod rozkładem i jak każdego poranka czeka na przyjazd swojego autobusu.

Kiedy wspią się po stopniach zdezelowanego pojazdu, a potem staje pod oknem, obie ręce ma zajęte – jedną trzyma się rurki, a w drugiej

kurczowo ściska rączkę teczki – dlatego, chcąc nie chcąc, musi sflumić przemożną chęć, by strzepnąć z ramienia niewidzialny paproch.

*

Mężczyzna wysiada kilkanaście przystanków dalej i udaje się spacerowym krokiem w kierunku gmachu firmy. Po drodze, jak zawsze, skręca w uliczkę, którą mieszkańcy miasta pieszczotliwie nazywają „usługową”. Ulokowana jest bowiem w sąsiedztwie dworca i lokalni przedsiębiorcy zadbali o to, by mimo niezbyt imponującej długości oferowała rzeszom podróżnych (jak również miejscowym) wszelkie możliwe usługi, jakich mógłby potrzebować strudzony wędrowiec, pracownik lub po prostu spacerowicz.

Pan Adam chwyta pewniej rączkę teczki i rozgląda się z zachwytem, omijając slalomem posapujących od ciężaru walizek podróżnych. „Tyle dobra!” – myśli i uśmiecha się do kobiety, która w bramie sprzedaje kwiaty. Mężczyzna nie ma pojęcia, jak nazywają się rośliny, z których uwito wielobarwne bukiety, ale docenia kompozycję. – „Tutaj każdy znajdzie coś dla siebie. Chcesz ściąć włosy? Przynajmniej trzech różnych fryzjerów zaoferuje ci strzyżenie. Masz ochotę na lody? Masz do wyboru dwie firmowe lodziarnie, budkę z lodami włoskimi oraz wózek starego lodziarza, który od trzech dekad staje co rano na tej ulicy i wygrywa tę samą irydującą melodyjkę. Bilet dla zapominalskiego pasażera? Szczoteczka do zębów dla biznesmena w delegacji? Szybki wyskok na zakupy z koleżankami? Wszystko, wszystko jest – pod nosem, w pobliżu. Tylko brać i korzystać. Wolny wybór”.

Pan Adam zerka na zegarek i uznając, że ma jeszcze parę minut, wstępuje do kiosku, gdzie zatrzymuje się przed ogromnym stojakiem z prasą.

„Wolne media” – myśli rozradowany, przebiegając wzrokiem po kilkudziesięciu różnych tytułach. – „Każdy ma dostęp do informacji i może wybrać to, co najbardziej mu odpowiada. Na co tym razem ja się zdecyduję?” – zastanawia się i aż drży z podniecenia przed czekającym go wyborem. Dobiegający ze znajdującej się naprzeciwko niewielkiej kawiarni aromat świeżo palonej kawy jeszcze bardziej pobudza jego zmysły. – „Pismo branżowe? Ogólnoinformacyjne? Tematyczne? Może coś dla pasjonatów? Jakiś magazyn hobbyistyczny? Mam wiele zainteresowań, mogę buszować wśród półek jak poszukiwacz skarbów. W jakiej dziedzinie dziś będę ekspertem? Finansów? Motoryzacji? Mody?”.

Równy osiem minut później zadowolony pan Adam wchodzi do biurowca, z tą samą jak co dzień gazetą zatknietą pod pachą. Gorący kubek kawy z tej samej co zazwyczaj sieci uniemożliwia mu sięgnięcie do ramienia, by usunąć z niego niewidzialny paproch.

*

Koło południa pan Adam jest umówiony z inwestorem na spotkanie. Wypada ono w porze lunchu, mężczyzna zaprasza partnera biznesowego na posiłek do ulubionej knajpki.

„Jak tu się pozmieniało!” – myśli pan Adam, kiedy obaj mężczyźni stoją przed tablicą z menu i lustrują uważnie wyszczególnione na niej pozycje. – „Kiedyś w sklepach był tylko ocet i puste półki, a teraz człowiek może sobie zjeść, cokolwiek mu się podoba i zawsze wtedy, kiedy sam chce. Na co ja mam dzisiaj ochotę?” – Przekręca głowę i oblizuje łakomie wargi. Egzotyczne nazwy i smakowicie brzmiące propozycje kuszą go, obiecując niezapomniany smak i niebagatelne doznania.

Pan Adam z grzeczności daje swojemu partnerowi pierwszeństwo w złożeniu zamówienia, a sam układa sobie w głowie plan działania. Najbardziej odpowiednie wydają się eleganckie *crêpes Suzette* albo kurczak po seczuańsku. Równocześnie mężczyzna chciałby spróbować pikantnej zupy tajskiej z zielonymi warzywami i mlekiem kokosowym. „Wolność wyboru” – cieszy się pan Adam, zacierając ręce i z trudem powstrzymując się od mlaskania – „dzięki niej można smakować tego, czego nigdy się nie próbowało. Podróżować, nie ruszając się z domu! Poznawać świat i kultury. Czyż to nie cudowne?”

Znajdująca się za ladą ekspedientka rzuca panu Adamowi porozumiewawcze spojrzenie.

– To, co zwykle? – pyta.

Pan Adam uśmiecha się.

– Jak najbardziej.

Kilka minut później obaj panowie kładą na najbliższym wolnym stoliku tace z jedzeniem. Nim pan Adam wgryza się w pierwszy kęs panierowanej ryby i macza w keczupie pierwszą frytkę, porusza gwałtownie ramionami, jakby chciał strząsnąć z nich niewidzialny paproch.

*

Po wyjściu z pracy pan Adam przypomina sobie, że zbliżają się urodziny jego teścia. W związku z tym ponownie skręca w uliczkę „usługową” w poszukiwaniu najlepszego prezentu.

„Jak to dobrze, że tak doskonale znam solenizanta!” – cieszy się pan Adam. Raduje go nie tylko perspektywa przyjęcia urodzinowego, ale także szczęścia malującego się na twarzy ojca małżonki. Czuje podniecenie na myśl o ogromie możliwości, którą otwiera przed nim sieć różnorodnych sklepów. – „Wiem, jakich kosmetyków używa. Wiem też, że uwielbia przejażdżki rowerowe. Ma ogródek, dlatego idealnie sprawdząby się narzędzia... A może coś dla majsterkowicza? Pamiętam doskonale, jak teść podarował nam na pierwszą rocznicę ślubu samodzielnie zrobione łożeczeko. Żona była akurat w drugim trymestrze ciąży...” – Pan Adam wzrusza się i gdyby nie był mężczyzną, prawdopodobnie pozwoliłby sobie na pociągnięcie nosem. – „Cudownie, że mam taki wybór. Mogę kupić to, co go najbardziej ucieszy”.

Nogi same niosą pana Adama do znanego butiku, którego progi mężczyzna opuszcza z zapakowaną w elegancką szarą torebkę parą wełnianych skarpet, dokładnie takich samych jak co roku. Trafność prezentu upaja go do tego stopnia, że pogwizduje radośnie i zapomina o potrzebie szpernięcia z ramienia niewidzialnego paprocha.

*

W drodze na przystanek pan Adam śpotyka sąsiada.

– Uszanowanie, panie Adamie! – Kłania się uprzejmie sąsiad, nazwijmy go Grzegorz. Pan Adam uśmiecha się krzywo. Nie ma ochoty rozmawiać z panem Grzegorzem. Wszyscy znamy takich sąsiadów: nudnych, pretensjonalnych, wieczne marudy marnotrawiące czas na zawracanie innym głowy swoimi problemami. Pan Adam zdaje sobie sprawę, że niezależnie od tego, jakie słowa wyjdą z ust pana Grzegorza, będą one wypełnione narzekaniem. – Nie uwierzy pan, co mnie dzisiaj śpotkało! Byłem w Urzędzie Miasta, bo miałem do załatwienia różne sprawy związane z moją firmą, wie pan, jak to jest, ta dzisiejsza papierologia, człowiek

może zejść od nawału tego wszystkiego, a na dodatek ci biurokraci traktują petentów jak śmiecie! Ja panu opowiem...

Pan Grzegorz poufale kładzie panu Adamowi dłoń na kark, a pan Adam jeży się, bo wcale nie ma ochoty słuchać uszczypliwych komentarzy sąsiada.

Jak to dobrze, że mamy wolność słowa i w każdej chwili mogę oznajmić panu Grzegorzowi, że jego wynurzenia w ogóle mnie nie interesują – myśli mężczyzna z satysfakcją. Od razu robi się mu lepiej na myśl, że wygarnia panu Grzegorzowi i pan Grzegorz milknie z szeroko otwartymi oczami, na przemian otwierając i zamykając usta, co upodabnia go do ryby wyrzuconej na brzeg.

– Oczywiście, sąsiedzie – mówi zamiast tego, a potem dodaje, dokładnie tak, jak zawsze: – Ma pan absolutną rację.

Sękata dłoń pana Grzegorza, w dalszym ciągu spoczywająca na ramieniu pana Adama, uniemożliwia mu usunięcie z klapy marynarki niewidzialnego paprocha.

*

Pan Adam przekracza próg domu zmęczony, ale zadowolony. Pięknie opakowane skarpety dla teścia odkłada na półkę, a neseser ląduje na stoliku nocnym, tuż obok filiżanki z niedopitą poranną kawą.

Mężczyzna szybko szykuje sobie w kuchni kolację, a kiedy posiłek trafia do mikrofali, siada przed telewizorem w oczekiwaniu na charakterystyczne piknięcie.

Ignorując burczenie w brzuchu, włącza odbiornik i przez chwilę czyta w skupieniu listę kanałów, która wyświetla się automatycznie przy każdorazowym uruchomieniu urządzenia.

Pan Adam przewija od niechcienia listę i pomrukuje z uznaniem.

„Tyle programów” – myśli, a jego twarz wygładza się, kiedy widzi, jak wielorakość tematyki otwiera przed nim całkiem nowe możliwości – „i mogę wybrać, co chcę. Jak ludzie potrafili bez tego egzystować?” – zastanawia się, kręcąc głową z niedowierzaniem. – „Obecne czasy są takie szczęśliwe! Każdy ma wolny dostęp do wszelkiej możliwej informacji! Koniecznie muszę obejrzeć coś ambitnego!”

Kuchenka wyłącza się cztery i pół minuty później, czyli dokładnie w momencie, gdy na jedyne zaczyna się serial komediowy, ten sam, który pan Adam ogląda od lat.

Mężczyzna wdycha zapach posiłku i zaciera dłonie, sięgając po sztućce. Odkłada je jednak, bo czuje, że nie wytrzyma, jeśli natychmiast nie strzepnie z ramienia niewidzialnego paprocha.

*

Punkt jedenasta pan Adam kładzie się do łóżka ze świadomością dobrze przeżytego dnia. Zasypia z uśmiechem i oczekiwaniem na kolejny poranek, który otworzy przed nim ogrom możliwości – a on wykorzysta je wszystkie, bo jest przecież wolnym człowiekiem.

– Zauważyłem dziwną rzecz.

Na oko dwudziestoletni mężczyzna z brodą gapi się w ekran, na którym widać przewracającego się na łóżku pana Adama. Głośniki zwielokrotniają jego chrapnięcia, a przychepione do ramion linki – niewidoczne ani dla pana Adama, ani dla sąsiada Grzegorza, ani dla nikogo, kto przebywa w tym samym co pan Adam wymiarze – falują w rytm jego oddechu. Młodzieniec wciska czerwony przycisk z boku ekranu i sterowane elektronicznym panelem nitki rozluźniają się, chwilowo zwisając swobodnie.

Drugi mężczyzna – również bezimienny, jednakże jego znakiem rozpoznawczym może być wystający brzuch, dlatego nic nie stoi na przeszkodzie, by nazywać go brzuchaczem – patrzy na kompana pytającym wzrokiem.

Dwudziestoletni brodacz drapie się za uchem.

– Za każdym razem, kiedy narzucamy mu jakąś decyzję, gładzi się po ramieniu, jakby strącał kurz.

Brzuchacz, który wyraźnie spodziewał się jakiejś rewelacji, rzuca przyjacielowi potępiające spojrzenie.

– Aleś wymyślił – burczy niezadowolony. Wskazuje głową na ekran. – Przy pomyślnych wiatrach obudzi go dopiero budzik, a nawet jeśli nie, to na siku wstanie najwcześniej o trzeciej. Mamy więc co najmniej... cztery godziny. – Oczy brzuchacza błyszczą, kiedy zerka na brodacza porozumiewawczo. – Co powiesz na drobną męską rywalizację?

Brodacz w mig pojmuje aluzję.

– Konsola?

– Konsola. – Kiwa głową brzuchacz.

Brodacz szczyrzy zęby. Jego białe, królicze siekacze w sztucznym świetle jarzeniówki mają niebieskawy odcień.

– Idę po popcorn – mówi, podnosząc się z kanapy – a ty wybierz jakąś gierkę.

Dwudzieśolatek udaje się do kuchni, skąd słyszy odgłosy przetrząsania przez brzuchacza regału z płytami.

– Mamy taki wybór, że można się posrać! – Brzuchacz śmieje się rubasznie. – Wybiorę coś, w co jeszcze nie napięprzaliśmy. Stary, ale będzie jazda!

Brodacz osuwa się na kanapę z miską pełną ciepłego popcornu.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę – mówi, ustawiając miskę między sobą a brzuchaczem – my, w przeciwieństwie do tych biedaków, *naprawdę* mamy wolny wybór.

Towarzysz szczyrzy zęby, kiwając głową z entuzjazmem.

– Racja, druhu – mówi, celując pilotem w konsolę. – Święta prawda.

Pięć minut później, kiedy ziarenka prażonej kukurydzy fruują po pokoju, wytrząsane z miski gwałtownymi ruchami bioder, a obaj młodzieńcy pokrzykują szaleńczo podczas drugiego okrążenia w grze – dokładnie tej samej, którą wybierają zawsze – są zbyt zaabsorbowani utrzymaniem bolidu na torze, by zdać sobie sprawę z potrzeby oderwania dłoni od joysticka i strząśnięcia z ramienia niewidzialnego paprocha.

Dorota

Sembratowicz

Artyzm to umieć powiedzieć, co to artyzm, nie pisząc przy tym eseju.

Artyzm to wiedzieć o człowieku więcej niż ksiądz i anatom.

Artyzm to *ponad*słowo; *ponad*plama; *ponad*dźwięk.

Artyzm to definiować pojęcia niedefiniowalne.

Człowiek

Purpurowa kapota, a na ręce tuzin złotych pierścieni, zbliża się, czuję prądy, Helka, czuję prądy, drze się wieśniak bez dwóch palców, bo mu koń odgryzł, nagle na naszych oczach wydłużają się kikuty i rosną dłuższe i dłuższe, już całkiem równe palce zakończone paznokciami. Przyglądamy się chwilę bez zachwytu, bo co w tym dla nas dziwnego, rosną palce, rosną nogi, rosną głowy jak kapusta na grządce. Każdy tylko prędzej chce się dopchać do tych dłoni, co odziane w tuzin pierścieni, ukojenie niosą śpracowanym członkom; bolącym, reumatycznym, zgniłym i przedziwnie jakoś powykręcany przez zakręty chłopskiego losu. Popychają się i krzyczą, dźwięczą monety i złote łańcuszki w karlaczyniej stodole, spadają z dłoni obrączki i szeleszczą banknoty, a wielki Zbawiciel do kupców w świątyni nie ma słowa, bo na wsi nawet święci nie gardzą złotem.

Siedzi niemy jak zawsze, dumny taki, jakby nic niewidzący i z kaprysu uzdrawiający. Czy kto widział kiedyś, żeby się podniósł z tego tronu? Wy-nościć se kazał aksamitnym i się zada podnieść nie chce, toć nie śmie tak o Zbawicielu parszywa gębo, ruga mnie Karlakowa baba, a ja się śmieję, bo pełen zdrowia zawsze, niepotrzebny żaden uzdrowiciel, a czekaj jeszcze, czekaj, aż ci co odpadnie. Wstrętne babsko, odkąd w stodole trzyma Zbawiciela, nagle pani wielka, suknie jakieś zakłada, a kolczyki jak wymiona zwisają brylantowe.

Po kilkudziesięciu odrośniętych kończynach i wyleczonych nowotworach, za karlaczyną chałupą rośnie kolejna wieża pałacu. Na cześć Zbawiciela, mówią. A ludzie przyjeżdżają nadal. Przyjeżdżają z innych wsi, z miasteczek, miast i metropolii. Przyjeżdżają, by się dotknąć jego szaty, sypią złoto i całują cenne ręce z tuzinem pierścieni – już zdrowi, niechromi, widzący i słyszący, piany z buzi nietoczący, do pracy, do życia, do miłości gotowi. Ostatnio częściej coraz myślę, gdzie w tym sens. Jakiego sensu szukać w zba-

wieniu, które im niesie, uzdrowieniu, które im daje? Stosy monet i biżuterii prędko zmieniają się w kolejne wieże pałacu, a on siedzi w stodole, jakby mniej już dumny, i uzdrawia, dając życie tym, którzy za nie płacą. Ale czy sam o to prosi? Czy sam byłby w stanie wycenić swe usługi, dla których wszak obrazą jest wszelka cena?

Z każdym dniem patrzenie na niego coraz mniej mnie drażni, staję się czystszy, jakby spokojniejszy. Łaknę cudów, które kwitną na moich oczach jak wiosenna łąka. Nie brakuje nań chwastów. Plewię skrwawionymi dłońmi chytre uśmieszki Karłakowej, przeliczane monety i kolejne piętra pałacu wykładane złotą posadzką. Chwastry mnożą się i mnożą, nie nadążam już i stoję tak, bez sił zupełnie.

Umiera w Boże Narodzenie. Przykryty purpurową kapotą, pod którą koszuli prawie już nie było, dygoczący i siny upada twarzą na klepisko, jakby przygnieciony ciężarem wszelkich brzemion świata, Zbawiciel ze stodoły, na którego pustym tronie czerwonym blaskiem jątrzą się resztki oderwanej od ciała skóry. Karłakowa przyszła do stodoły w czerwonym, strojnym płaszczu, bezzębna dama pik, odsuńcie się, ludzie, odstąpili, popatrzcie, ludzie, popatrzyli, oszukał nas, uwierzyli. Spoglądali po kolei na brudne, pokryte odleżynami ciało, na gnijące na martwym już ciele rany, na chorobę. Patrzyli ci świeżo widzący, słuchali ci świeżo słyszający, oskarżenia rzucali ci, co niedawno głos odzyskali. Kopali wątłą postać nogami, które dopiero odrosły, a ozdrowiałe dłonie wskazywały palcami, oszuście! I rozbiegły się zdrowe ciała do domów, krzycząc jeszcze i bluźniąc, a on patrzył ślepyimi oczami za tymi, których dusz nie udało mu się uzdrowić.

Dagmara

Tomczyk

„Czas i przestrzeń, barwy pór roku, drgnienia mięśni i myśli nie stanowią dla genialnych pisarzy (o ile możemy ich rozpoznać, a ufam, że się nie mylimy) tradycyjnych pojęć, które można sobie wypożyczyć z objazdowej biblioteki publicznych prawd, ale całą serię jedynych w swoim rodzaju niespodzianek, które artyści-mistrzowie nauczyli się wyrażać we właściwy tylko sobie, wyjątkowy sposób” – mówi Vladimir Nabokov. Artyzm to bardzo rzadka umiejętność.

Do widzenia

17 października

Leżałam jeszcze w łóżku, kiedy usłyszałam dzwonek do drzwi. Otworzyłam oczy i zobaczyłam mokrą plamę na suficie. Jesień robiła się coraz bardziej nieznośna. Lało całą noc – pomyślałam i zerknęłam na budzik. Miałam jeszcze kwadrans, było dopiero wpół do siódmej. Przewróciłam się na drugi bok, zapominając albo niezupełnie uświadamiając sobie, że ktoś stoi pod moimi drzwiami.

Szybko poczułam jednak narażający ból głowy, który skutecznie rozproszył sen. Wieczorem przesadziłam z winem, wypiałam kilka lampek za dużo i już wtedy wiedziałam, że poniedziałek w biurze spędzę na kacu i ze wzrokiem utkwionym w powolny ruch wskazówek zegara.

Za chwilę znowu odezwał się ten sam natarczywy dźwięk. Zerwałam się z łóżka i sięgnęłam po szlafrok.

Przyśtawiłam zaśpane oko do judasza. W pierwszym momencie nikogo nie zobaczyłam. Wyraźnie słyszałam jednak ciężki oddech i głośne sapanie dochodzące z zewnątrz. Spojrzałam jeszcze raz, niżej. Na wycieracze siedziała jakaś skulona, ciemna postać. Zdziwiłam się, że ktoś żebrze na mojej klatce. To spokojny blok, nigdy nie kręcił się tu nikt podejrzany.

Pomyślałam, że facet musi być bardzo zdeśperowany albo niespełna rozumu, jeśli przychodzi pod cudze drzwi. Na dodatek o takiej porze. Liczy, że zaproszę go na ciepłą herbatkę i śniadanie? Przez parę minut obserwowałam sytuację na korytarzu, ale niewiele dojrzałam. Wizjer zniekształcał obraz, a kłozard się nie poruszał. Słyszałam tylko, jak z trudem łapie powietrze. Pewnie chory. Kto tak głośno oddycha? Przez moment przyszło mi nawet do głowy, że może jednak powinnam otworzyć, bo jeszcze umrze pod drzwiami. Ale z drugiej strony, może po prostu się zmęczył? W końcu wlaźł na czwarte piętro, windy przecież nie było. Tak, jeśli chce, to niech

idzie do sąsiadów, nie ja jedna mieszkam w tej kamienicy. Zdjęłam klapki, żeby nie narobić hałasu, i bosy przeszłam do kuchni. Miałam byle jakie drzwi wejściowe, które przepuszczały wszystkie dźwięki, a nie chciałam, żeby usłyszał, że ktoś jest w środku. Siadłam na taborecie pod oknem i zapaliłam papierosa. Stwierdziłam, że zaczekam chwilę ze śniadaniem. Dopóki sobie nie pójdzie.

Przesiedzieliśmy tak w irytującej ciszy jeszcze z dziesięć minut – ja po jednej stronie drzwi, on po drugiej. W końcu usłyszałam, jak podnosi się z podłogi, a następnie idzie w stronę klatki schodowej. Odetchnęłam, bo musiałam zacząć wreszcie szykować się do pracy.

Z kuchni widać było jedynie małe okna kamienicy frontowej i, jeśli spojrzeć w dół, ciasne podwórze, przez które wchodziło się do obskurnej oficyny, gdzie na ostatnim piętrze wynajmowałam kawalerkę. Uchyliłam nieco zasłonkę i przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w ponury placyk, po którym jak co dzień przechadzały się wrony. Czekałam, aż nieznajomy wyjdzie z budynku, żeby upewnić się, że nie padł gdzieś na schodach.

22 października

Na pogrzeb przyszło niewiele osób, ale nie zaskoczyło mnie to. To małe miasto, niczego nie da się ukryć. A ona przecież nawet nie próbowała ukrywać. Kiwnęłam na powitanie mojej ciotce, która zajęła się całą ceremonią, ale udała, że mnie nie widzi. Była z mężem i synami. Chłopcy wyrosli, pomyślałam, widząc ich flegmatyczne, nalane twarze. Byli jeszcze jacyś inni ludzie, których, podobnie jak ciotkę i kuzynów, widziałam ostatni raz wiele lat temu, i tacy, których nie widziałam nigdy, ale domyślałam się, kim są. Przyszłam na pogrzeb, tak jak oni wszyscy, dlatego że zazwyczaj chodzi się na pogrzeby bliskich osób. Nawet jeśli wołałoby się w tym czasie jechać na zakupy albo posiedzieć przed telewizorem. Przyszłam do kościoła, żeby upewnić się, że to już naprawdę koniec. Szczególnie po tym, jak przed kilkoma dniami nieoczekiwanie pojawiła się pod drzwiami mojego mieszkania.

Chciałam usiąść gdzieś z tyłu, ale podstarzały proboszcz, którego dobrze pamiętałam z lekcji religii w podstawówce, złapał mnie za rękę i poprowadził w stronę ołtarza i wystawionej na katafalku trumny. No tak, pierwsza ławka była moim obowiązkiem. Nie zamierzałam kłócić się z księdzem, więc nie stawiałam oporu. Najchętniej wykrzyczałabym mu jednak prosto w twarz, że mam w nosie jego zwyczaje i całą tę pożegnalną farsę.

Siedziałam więc w pierwszej ławce – tuż przed tanią, niezgrabną trumną – i myślałam o ostatecznych pięciu latach. Do miasteczka przyjeżdżałam rzadko, ale to i tak wystarczyło, żeby czasem na nią wpaść. Na przykład tego dnia, kiedy siedziałam u fryzjerki. Popijałam kawę, a kobieta nakładała farbę na moje włosy. Rozmawiałyśmy o głupotach. W którymś momencie na ulicy zrobiło się głośno, więc spojrzaliśmy przez okno. To była ona. Całkiem pijana, z potarganymi włosami, brudna. Krzyczała na jakiegoś faceta, który ledwie włókł się za nią. Byli prawie bezpłciowi, o nieokreślonym wieku – szare zapadnięte twarzyczki przymocowane do zużytych ciał. Fryzjerka była przyjezdna, nie znała jeszcze obowiązujących tu układów i układzików. Nie wiedziała, że powinna milczeć, tak jak inni. Degeneracja, pasożytnictwo, patola, smród. Rozczesywała mi włosy i nie prześtawała mówić, a ja piłam kawę coraz łapczywiej, zasłaniając drżące usta.

Albo ten letni dzień, kiedy przyjechałam na imprezę. Wsiadłam na przystanku autobusowym przy rynku i ruszyłam szybkim krokiem w stronę domu mojej znajomej z podstawówki, która co roku organizowała przyjęcie urodzinowe i za każdym razem mnie zapraszała. Było już ciemno i pułtawo. Tylko w małym parku za pawilonem handlowym toczyło się życie. Już z daleka słyszałam dochodzące stamtąd głosy. Musiałam przejść nieopodal. Skręciłam w małą, ale oświetloną ścieżkę, obiecując sobie, że nie będę rozglądać się na boki. Lampy dawały jednak dużo światła, demaskując to, co działo się w głębi parku. Mimowolnie spojrzałam. Najpierw zobaczyłam ławkę, na której siedziało czterech czy pięciu mężczyzn, a zaraz potem dostrzegłam powód, dla którego pijackowie tak głośno rechotali, pogwizdywali i wydawali z siebie małpie okrzyki. Parę metrów za ławką jakiś staruch pieprzył rozwalone na trawie chuchro. Kobieta bredziła coś do swojego kochanka obojętnym głosem, zdradzającym ilość wypitego alkoholu. Poznałam ten głos od razu.

23 października

Chciałam mieć to jak najszybciej z głowy. Zadzwoiłam do notariusza dwa dni po pogrzebie. Powiedziałam, że chcę odrzucić spadek. Majątku żadnego nie było, mogłam się za to spodziewać okazałych długów. Nie miałam pojęcia, za co żyła przez te wszystkie lata. W tym samym dniu poszłam też do urzędu i wzięłam akt zgonu, który był potrzebny, żeby załatwić całą sprawę od ręki. W kancelarii miałam być dopiero wieczorem. Notariusz nie miał

w tym dniu czasu, ale udało mi się go uprosić, żeby został specjalnie dla mnie nieco dłużej.

Wzięłam urlop w pracy na cały dzień. Szef nie robił problemów, kiedy powiedziałam, że ktoś mi zmarł. Nie musiałam nawet mówić, że chodzi o kogoś bliskiego – na szczęście, bo nie chciało mi się okłamywać ani jego, ani siebie.

Z samego rana wsiadłam w samochód i wybrałam się do marketu na większe zakupy. W drodze powrotnej zboczyłam jednak z trasy i podjechałam pod dom z czerwonej cegły stojący na obrzeżach miasta. Stałam po drugiej stronie ulicy i wyłączyłam silnik. Tutaj się wychowałam, wszystkie dobre wspomnienia z dzieciństwa wiązały się właśnie z tym miejscem.

Był to nasz rodzinny dom, który od dawna do nas nie należał. Podwórko było zadbane, a w oknach wisiały czyste firanki. Znudzony owczarek, który leżał pod bramą, mógłby mieć na imię Fred, a duży volkswagen zaparkowany przed garażem mógłby być służbowym samochodem taty. Tata mógłby żyć, pomyślałam, a pamięć natychmiast podsunęła mi wspomnienie z lat dziecięcych: ojciec ubrany w oliwkowe kalosze i kurtkę moro tłumaczy mi, jak założyć przynętę, to nasza pierwsza wspólna wyprawa nad rzekę i oboje jesteśmy bardzo przejęci.

Uchyliłam lekko drzwi samochodu i zapaliłam.

Zamyśliłam się, utkwivszy wzrok w kuchennym oknie. Nic nie stałoby na przeszkodzie, żebyśmy nadal jeździli w letnie, sobotnie poranki na ryby. Ja mówiłabym mu o moich planach na życie, a on powtarzałby, że wszystko się uda. Tak, wciąż mogłoby tak być, może nawet byłoby. Gdyby nie ona. Gdyby nie jej krzyki i napady złości, podczas których o kuchenną podłogę rozbijały się stosy porcelany i szkła. Gdyby nie te ucieczki od nas, nieraz trwające wiele dni. Kiedy znikła, ojciec tłumaczył mi, że mamusia musi opiekować się chorą przyjaciółką i dlatego jej nie ma. A później zamykał się w kuchni i dzwonił do szpitala albo na policję i podawał jej dane zawstydzonym głosem. Skąd brał na to wszystko siłę?

– Mój tata nigdy nie umarłby na serce, gdyby wcześniej nie zatruło mu życia – powiedziałam kiedyś do mężczyzny, którego przez pewien czas brałam za mojego przyszłego męża. Mężczyzna wiedział, że mam na myśli swoją matkę, bo był z okolicy. Wiedział też o kilku innych rzeczach, których nie powinnam była nikomu opowiadać.

– Może powinnaś wreszcie pogodzić się z tym, że sam odstawił leki i przestał chodzić do lekarzy. Musiał wiedzieć, co robi – odpowiedział, doprowadzając mnie wówczas do furii. Niczego nie rozumiał, podobnie jak inni.

1 listopada

Na cmentarz pojechałam dopiero wieczorem, choć zwykle odwiedzałam tatę z samego rana. Ociągałam się z wyjściem z domu bez powodu. A może był jakiś powód? W każdym razie zwlekałam, aż do momentu, kiedy zapadł zmrok.

Czerwonawe światło zniczy dokładnie oświetlało wąskie ścieżki. Wydawało mi się, że o tej porze będzie już spokojnie, ale się pomyliłam. Wiele osób wciąż przechadzało się między nagrobkami. Rozmawiali ściszymi głosami, czasem ktoś się roześmiał. Mijałam ich obojętnie, nie patrząc w twarze. W końcu stanęłam przed grobem taty i odruchowo zaczęłam odmawiać modlitwę, ale po kilku zdaniach wypowiedzianych szeptem przerwałam. Pacierz przed grobem był nawykiem z dzieciństwa. Kiedy jest się małym, świat wydaje się prosty, dlatego wyklepanie nudnej formułki do Boga zakrawa na jakąś magiczną praktykę.

Było kilka rzeczy, o których chciałam tacie opowiedzieć, i coś, o co chciałam go zapytać, ale nie istniało między nami żadne połączenie, które by to umożliwiło. Zapaliłam lampion i postanowiłam iść dalej. Musiałam przejść niemal całą południową część cmentarza, żeby dostać się na jej grób. Nie byłam jednak do końca pewna, w której alejce leży, mimo że pogrzeb był tak niedawno. Trochę pobłądziłam, ale w końcu dojrzałam kilka świeżych wiązanek na usypanym piasku i lekko przekrzywiony, drewniany krzyż z tabliczką.

Odczytałam po cichu jej imię i nazwisko. Brzmiało jak wyrzut sumienia. Poczułam skurcz mięśni całego ciała. Było to podobne uczucie do paraliżującego stresu. Podobne do momentów, kiedy wszystkie moje działania wydawały mi się z góry skazane na porażkę. Stałam nad grobem, w którym leżała od ponad tygodnia, umyta i starannie ubrana, i zastanawiałam się, po co wtedy do mnie przyszła. Nawet gdybym zorientowała się wcześniej, że to ona – a nie zwyczajny cuchnący bezdomny – i tak bym nie otworzyła. Dałabym jednak wiele, żeby dowiedzieć się, dlaczego po wielu latach całkowitego zapomnienia znalazła się wtedy pod moimi drzwiami. Potrzebowała pieniędzy czy chciała mi coś powiedzieć? Teraz bez przerwy wracało do mnie

wspomnienie tamtego dnia. Kiedy wyszła z bloku i przystanęła na chwilę niedaleko kontenera na śmieci, żeby odpocząć, nie mogłam uwierzyć, że przed chwilą była tak blisko.

Jej grób był trochę na uboczu, panowała cisza. Stałam i wpatrywałam się w podrygujący płomyk. Kiedy byłam jeszcze bardzo mała, często chodziłam z nią na zajęcia. Godzinami oglądałam, jak ćwiczy ze swoimi uczennicami *attitude croisée* i *attitude affacée*. Trochę później i mnie zaczęła uczyć podstawowych kroków i figur. Rzadko mnie chwaliła, ale jej oczy zdradzały wszystko. Z całą pewnością odziedziczyłam po niej talent. Nieraz oglądałyśmy wspólnie nagrania z Alessandrą Ferri, a ja wyobrażałam sobie, że kiedyś będę równie sławną primabaleriną. Wyobrażałam ją sobie, moją matkę, na honorowym miejscu – okłaskującą mnie z dumą i podziwem. W tamtym czasie miała piękne, szlachetne rysy twarzy. Kiedy była skupiona na tańcu, wyglądała jak królowa Nefertiti z moich podręczników do sztuki. Nigdy później nie spotkałam kobiety, która tak mocno przyciągałaby innych, i to bez względu na płeć.

Zaczęło robić się coraz chłodniej, poczułam, że jestem cała przemarznięta. Powiedziałam „do widzenia, mamó” i odeszłam w swoją stronę. Powiedziałam to na głos.

Powiedziałam to na głos.

Szymon *Sentkowski*

Artyzm to kostka Rubika, którą twórca układa palcami odbiorcy.
I temu pierwszemu można by było przypisać miano manipulatora,
gdyby nie to, że kolory na ściankach są wytworem naszej
indywidualnej, niedostępnej nikomu innemu percepcji – osobiste
zestknięcie ze sztuką da się opisać wyłącznie w taki sposób jak
czerwień czy zieleń. Czyli ostatecznie nijak.

Czworokątna dysputa filozoficzna nocą

Szemranie. Dziadzia rzuca strzępki słów; szarga mi nimi uszy. Po raz pierwszy go słyszę w ten sposób i nie rozumiem, skąd ta nagła zmiana. Pogorszyło mu się? Tylko do kogo on? Może potrzebuje pomocy. Tylko żeby Izy nie obudzić...

Wzgardzona kołdra zwiła się w kącie łóżka. Panele, poczuwszy, jak jeden z jej koniuszków, niechlujnie zwisający, delikatnie je łaskocze, zaczęły skrzy pieć. Zainicjowały w ten sposób pieśń żałobną ku czci pościeli, na co drzwi wtrąciły się z grubiańskim żądaniem ciszy. Pozornie tylko skutecznym; ordynarności nie mogła stłumić szczerego planktu, który wnet się odrodził po drugiej stronie, na korytarzu. I, niczym skrzy piący kondukt żałobny, ruszył dalej; przedarł się do kolejnego pokoju, nie mącąc swego przepełnionego pietyzmem oblicza. Tam rozbrzmiały ostatecznie lamentacje molowe – posłuch im dał kapłan światłości. Przytaknął w całym swym pobożnym majestacie, a geść ten niósł zapowiedź zmartwychwstania; pstryk.

Ale jasno, cholera... Siostrunia Alicja? Co ona tutaj robi? Siedzi wpatrzone w leżącego staruszka, wsłuchana w jego słowa. Przytakuje temu bełkotowi. Zahipnotyzowana – nie zauważyła ani że wszedłem, ani że zapaliłem światło. Ciekawe. Chyba powinna poczuć szok, skoro siedziała tak długo w ciemności. A ten nie lepszy. Gapi się w sufit i coś tam papple. Dalej nie rozumiem.

Język wzbija się w powietrze i szybuje bohatersko ponad bagnami plwociny, by zetknąć się ze szkliwem górnych siekaczy – T – a następnie, wykorzystawszy całą drzemiacą w nim energię, wali się – O – i błaga usta, by się zamknęły, by odgrodziły go od wszelkich sępic oczu czerpiących satysfakcję z jego upadku. Wargi filuternie akceptują tę prośbę, lecz wyłącznie

w celu zyskania sobie okazji do rozwarcia się – B – panie i panowie, oto upadły język! Ten, zdeśperowany i zawstydzony, podrywa się jeszcze – J – ale ostatecznie kończy schylony żałośnie – E – i tak już zostaje, zaakceptowawszy swój los.

Odwróciła się w końcu. Wcale jej nie dziwię swoją obecnością; nie przejmuję się nic a nic tym, że stoję tutaj obudzony w środku nocy. Jeszcze lepiej – ona czegoś chce. Wyciąga rękę w kierunku biurka i przebiera palcami w powietrzu, próbując przywołać do siebie leżącą tam kartkę oraz długopis.

– ...tylko przekażę, wnuczko. Tak, zapisz...

Ponagła. To musi być coś ważnego z dziadzią, skoro organizuje takie nocne słuchowisko. Proszę, siostrunio, przelej je na papier, żebym mógł się dowiedzieć o wszystkim nad ranem, kiedy już się wyśpię, zamiast teraz, bo chyba nie umiera.

– Wszystko z nim w porządku?

Jakie wszystko? Cóż się na niego składa, co tworzy jego wszystko? Za mało wiemy, by uznać człowieka za całość. Skończoną i kompletną. Człowiek nadal w naszej świadomości prezentuje się jako ułamek, a badając go, możemy co najwyżej odkrywać kolejne liczby po przecinku, ale i tak nigdy ich nie zmienimy. Stoimy w miejscu; wszelkie nauki, chcące zgłębić tajniki umysłu, sprawiają tylko pozory, że jesteśmy w ruchu. I jak on śmie, bym powiedziała cokolwiek o całości, a już w ogóle – czy z tą całością jest w porządku. Głupiec, ale nie – nie będę się rozpraszała. Zapisać wszystko, co usłyszę. Tylko to teraz.

O, wnuczek marnotrawny. Krzywi się, widząc, że ktoś daje mi posłuch. Przez lata gniłem tutaj, wypluwając swą mądrość w trzewia ciemności, niczym balon, z którego uchodzi powietrze. Teraz, kiedym znalazł odpowiednie uszy, zdolne rozszyfrować i utrwalić mą sfluściznę, on burzy się, że ktoś mu nocą przeszkadza. Niegodzien najpiękniejszego na świecie łabędziego śpiewu. Głupiec, ale nie – bez rozpraszania.

Demiurg naprężył się na swoim posłaniu, wciągnął powietrze przez szparkę między ustami w wilgotne zakamarki ciała, pozwalając, by za pośrednictwem gorącej krwi życiodajny tlen rozprowadził mu się po członkach. Pożądliwe oczy wpiły spojrzanie w pragnące ślepka słuchaczki, gotowej przyjąć w swoje umysłowe łono nasienie wiedzy, a zarazem wprawną pracą delikatnych rączek, ściskających czuło twardą pałeczkę, z której końca wyciekał płamiący płyn, wydać na świat potomka prężności intelektualnej

mistrza. Jej piersi, obleczone na tyle cieniutkim materiałem koszuli nocnej, że aż pozwalającym ich ciemnoróżowym zwieńczeniu się bezwstydnie jawić za niemal nieistniejącą mgiełką koronkowej bieli, wznosiły się oraz opadały do dyktowanego przez złakniony organizm galopującego tempa. Pragnęła, by od razu zagłębił się w nią lepkimi słowami, by mogła przywrzeć do nich całym wnętrzem wyobraźni i poczuć, jak ona i on wzajemnie ocierają się myślami, coraz mocniej, aż wreszcie dojdą do konkluzji. Demiurg, przebiwszy błonę niewiedzy, zabierze Aluszkę na szczyt transcendencji, po czym ta przestanie być dziewczynką; wydorosłeje, pozwalając wszelkim fałszom, zaczerwienionym ze wstydu, wyciec i upaść jej do stóp. Tak będzie wyglądała jej intelektualna inicjacja, ale póki co...

Co on się tak gapi. Może od tego wszystkiego mu pikawa stanęła? Się stresuje, bidulek. Sam bym pewnie nie potrafił wykrztusić słowa, gdyby ta nawiedzona tak się na mnie patrzyła. Podniecona, że aż zaraz połamię ten długopis. Chyba że to przeze mnie. Albo przez światło. Bo wcześniej przecież staruszek nawijał jak popaprawy. Dobra, zostawiam ich samych. Niech się tu dobrze bawią.

Po lamencie nadszedł czas na durowy kontratak. *Forte, presto!* – wyszła komenda od dyrygenta, komponującego pod wpływem natchnienia skrzypiącą symfonię stanowiącą prośbę oraz podziękowanie. Panelowa orkiestra, w pełni zawierzając twórcy i tym samym unifikując z nim swoją jaźń, wygięła się, posyłając konsonanse Bogu, od którego pochodził ten dar muzyki. Na próżno było dopatrywać się gdziekolwiek fałszowania mogącego zmącić radosną atmosferę i stanąć na drodze jej ekspansji; euforia wyległa na korytarz, pozostawiając za sobą pauzę-apoteozę, w której panele ochoczo i z satysfakcją się pogrążyły, wykonawszy już własną partię. *Prestissimo, fortissimo!* – wybuchło, a następnie nawałnicą dźwięków zdobyło kolejny pokój. Wtedy to nastąpił finał; bachiczny utwór zyskał moc uzdrowienia rzeczywistości; cud. Róg kołdry, wskrzeszony wolą Tego Jedynego, porwał się w górę, po czym wrócił na swoje miejsce, a panele zamarały. Cisza była bowiem dla nich czymś dalece wznioślejszym niż brawa i prośby o bis.

– Co jest? – zapytała Iza ośpale, odwracając się ku dopiero co przybyłemu.

- Z dziadkiem coś, ale śpij, kochanie.
- Z dziadkiem?
- Ala z nim gada, nie wiem, o co chodzi.
- Mhm.

I przez siedem minut milczenie trwało. A czworo oczu w tym czasie, zamknąwszy się, poczęło wypatrywać zwiastujących sen onirycznych obrazów. A gdy głos się rozległ, dobiegając zewsząd, oczy te rozwarły się zdziwione. Wtedy do czworga uszu doszły trzy wyrazy, spośród innych się wyróżniające donośnością swą: „Posłuchaj mnie, Alu”. Mężczyzna obleczony w piżamę, zostawiwszy konkubinę swą samotną w pozycji leżącej, usiadł na łóżku, a imię jego było Marek. I oczy jego gniewem zapłonęły, gdy wzrok w ścianie oddzielającej pokój jego od pokoju patriarchy utkwiał. A potok słów płynął nieprzerwanie, zalewając rozpuśtników. Oni zaś dziwili się nad sensem jego, gdy akurat pochycili trzy cnotliwe słowa z niego brzmiące: „Moja jest prawda”, i zdumieli się wielce. A oczu zamknąć już nie potrafili, tak potężnie ubódł ich ów strumień mądrości. I zbliżyli się do siebie, gdyż podobni do siebie byli, a każde podobne do siebie istoty tak czynią w obliczu zagrożenia. Szeptem powtarzali jedno drugiemu: „Co z nim, to ja nie wiem”, „Może by się tam przejść?”, „Już byłem”, „No to co teraz?”. A nad tymi szeptami zatriumfowały kolejne trzy słowa: „Oni niechaj przepadną”. Usłyszawszy to, rozpuśtnicy zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej, ogarnieni odrazą oraz lękiem. Poczęli nasłuchiwać, nadzieję chowając w duchu, że padać na nich słowa przestaną. Ale te bębniły o ich niewierne czaszki, przybierając na sile. Głos natchnionego patriarchy, skłębiwszy się, oblókł sufit, podczas gdy po podłodze szalały już fale prawdy. Wtedy to mężczyzna zrozumiał, że ukojenie nie nastąpi i że los topielca został mu przeznaczony. Lecz na przekór chcąc iść wylewnej – choć srogiej – nauce, postanowił arkę skonstruować. Arkę mającą stawić czoła rodzącej się nawałnicy. Arkę ludzkim umysłem zaprojektowaną i ludzkimi rękoma wykonaną; bluźnierczą arkę na przekór Bogu.

– Jeśli nie pozwalają nam spać, to nie śpijmy.

Przyłożył dłoń do policzka Izy. Ona się uśmiechnęła, pozwalając, by cieszył opuszki gładką fakturą jej skóry. Szybko zapragnął więcej; przesliznął się palcami ku karkowi i, chwyciwszy zdobycz, pociągnął ją ku sobie. Usta trafiły w usta – a sekundę później – język w język. Dwa ciała zlepiły się i runęły na pierzynę. Odchyliła głowę, zamknąwszy oczy, a on od razu zabrał się za odsłoniętą szyję. Lizał, jednocześnie rozczapierzonymi palcami wbijając się gdzie popadnie, byleby rozszarpać, na co rozszarpywana przżyła się w spazmach rozkoszy. Chciała być przez niego bezlitośnie zdobyta i jękami się tego domagała, a pragnienie rosło z każdym dreszczem, aż, nie

mogąc wytrzymać, musiała się poderwać ku niemu, by wyszeptać to jedno życzenie:

– Bierz mnie.

I przypieczętowała je; oszołomiła go – trafiła w czuły punkt. Język, wijący się po jego małżowinie usznej, zdawał się wnikać znacznie głębiej, paraliżując ciało drapieżcy. Teraz, na ten krótki moment, Iza przejęła inicjatywę. Uwiedziony samiec drżał, zaciskał pięści; poddawał się dominacji, choć już czuł, że coś w nim domaga się odwetu. I to rosło, a ona o tym wiedziała, więc trzymała go w tych siłkach, aż się doczekała. Zacisnął dłoń na jej szyi, zagłębiając się palcami – wszystkimi oprócz śpoczywającego na krtani kciuka. By zmiażdżyć. Podobnie chwycił za pierś. Otworzyła wtedy szeroko usta; natychmiastowo dopadł je swoimi, tłumiąc wszelki śprzeciw. I tak, rozkoszując się bezbronnym ciałem, nie przejmował się słowami starca dochodzącymi zza ściany.

A może by tak na podłodze? O tak, na dziko bardziej.

I oto *deus artifex* zstąpił z niebios, by nieść natchnienie, raz jeszcze pobudzając w pełni mu oddaną panelową orkiestrę. Rozpoczęło się skrzypreludium z gościnnym udziałem jęków oraz posapywań.

A że Marek był wielkiej wiary, wody potopu mu niestraszne były i śmiało baraszkował na nich, nie tonąc. A szumiały fale:

– ...tyle lat w błędzie, Alu, dlatego chcę cię przed tym uchować...

Osobna jednak fala gdzie indziej wzbierała, gotowa wśliznąć się w najbardziej skryty zakamarek panienki, by stworzyć jej nowe życie, inne niż to obecne – błędne.

Tak, tak, proszę, och!

Przed okresem jesteś na pewno bezpiecznie, czy może wyjąć?

– *Prestissimaximo! Fortesseksimo!* – wołał napęczniały od natchnienia dyrygent orkiestry, zręcznie manewrując batutą.

– Jak ja się cieszę, że akurat w tej mojej ostatniej godzinie...

Zapucił sierp i żniwa dokonał, bo dojrzało żniwo jego.

A bluzniercza arka Marka przybijiała do cieśninki Izki, przyplływ za sobą niosąc.

A panienka w ekstazie, dzierżąc narzędzie płodzące nowe życie – niebłędne – i coraz prędzej nim poruszając, czuła już, że dochodzi do prawdy ostatecznej.

A wszystko wokół już zdawało się pod wodą być zatopione.

A, a, ach!

Ostrożność – ostrożność przede wszystkim!

I wypuścił z arki stado białych gołębic, które wzniosły się wysoko w powietrze i poszybowały ku ziemi obiecanej. A dotarłszy tam, osiadły na miękkim meszku okalającym dolinę stanowiącą oazę przytulności. I żaden z nich nie wróci z liśkiem z drzewa oliwnego, triumfując nad potopem.

Cisza. Panelowa orkiestra już zeszała ze sceny. Nie odbija się echem szum patriarchalnych mądrości. Marek z Izą oddychają ciężko, ale bezgłośnie.

– Zetrzyj to ze mnie – mówi po chwili kobieta.

On kiwa głową, a następnie składa pocałunek na jej czole i, wciągnąwszy spodni, rusza ku kuchni. Tam ciszę słycać jeszcze bardziej, co go niepokoi. Wreszcie nie wytrzymuje; zagląda do pokoju dziadka.

Staruszek ma zamknięte oczy, usta lekko rozwarte. Alicja na niego patrzy, ale zdaje się odcięta od tego świata, ma beznamiętny wyraz twarzy. Długopis w jej ręce zamarł w połowie ruchu i trwa w stanie zawieszenia. Marek podchodzi niepewnie do siostry; zauważa, że ta zapisała całą kartkę.

– Co to? – pyta.

Ale odpowiedzi się nie doczeka. Wraca wzrokiem do leżącego, przypatruje się uważnie; klatka piersiowa starca nie unosi się ani nie opada.

– Czy on...?

Alicja nie reaguje. Wrywa jej więc kartkę, licząc, że tym ją ocuci, lecz i z tego nici. Zbity z tropu odczytuje fragmenty tekstu.

„Przez cały czas tylko czekałem, aż ktoś mnie tutaj wysłucha. Dobrze, że przyjechałaś. Ten szczeniak nic nie rozumiał, już wołałem gadać do sufitu niż do niego, przecież...

Tyle lat, ile ja te wszystkie myśli w sobie gromadziłem, Alu, to jest aż niepojęte. Ale warto było, skoro teraz tobie właśnie ma to przynieść pożytek...

Do diabła z innymi, niech tkwią w tym bagnie umysłowym. To skrzzy-pamy klucz do szczęścia, uwierzyskrzzypp...

Dochodziłem dogłębiej! prawdskrzyskrzyskrzyp...

Ach! musisz nieść o-o-och! pokoleniom, żeby taaak!

Teraz pisz we mnie, we mnie, błagam, nie zwracaj uwagi skrzypp nich. Skup jestem blisko!

Po tych skrzskrzozważaniachskrzjeśskrzskrztylkojedenskrzyyywnio-skrzypek.

Tak, ta-ak, ach! jeden – we mnie – i ma w sobie całą pra-aaach!-dę.

A skbrzmi on: – ach! – w życiu chodziskrzypoachtak! ach-skrz-ach...”

Zawiesił wzrok na tym ośtatnim zdaniu i czytał je kilkukrotnie, aż wreszcie Ala wstała.

– Jeśli o to chodzi w życiu, to ja dziękuję.

A Iza zawołała z drugiego pokoju:

– Długo mam czekać!?

Karolina

Sowa

Jeستم początkującą pisarką i nigdy wcześniej nie
zaśnanawiałam się nad kwestią sztuczności. Wystarczyło po prostu
pisać. Dla mnie sztuczność to wprowadzenie mojej twórczości
na zdecydowanie wyższy poziom, który, mam nadzieję,
uda mi się kiedyś osiągnąć.

Zagraj z nami

Jak jedna decyzja może zmienić ludzkie życie? Diametralnie...

Widać to z perspektywy lat, jednak w tej konkretnej chwili, kiedy myśli kłębią się w głowie, a pytania o słuszność swojego postępowania zalewają nas kolejnymi falami, żadna decyzja nie jest doskonała. Takie nie istnieją.

John Bullard miał się o tym niedługo przekonać. Uważał się za człowieka z największym możliwym życiowym pechem. Zaczęło się wtedy, gdy po przyjeździe ze szkoły znalazł matkę z poderżniętym gardłem, a równe dwa lata później ojca wiszącego na kablu od żelazka. Po tak wielkim szoku nie wiedział, czy zdoła się przed kimś kiedykolwiek otworzyć.

A jednak jemu się udało, Cassidy była jego jedynym promyczkiem w świecie przysłoniętym szarymi chmurami negatywnego myślenia. Jak szybko i ten promyczek zgasł, gdy zobaczył, że żona, która miała być właśnie u koleżanki, udaje się do motelu razem z jego przyjacielem Clarkiem. Rozczarowanie było tym większe, kiedy uświadomił sobie, że Cassidy odwiedzała „tę koleżankę” systematycznie raz w tygodniu od ponad roku. Jakby tego było mało, kilka dni temu zepsuł mu się zegarek. Teraz, gdy odruchowo spojrział na nagi nadgarstek, postanowił wreszcie przerwać złą passę i zmienić swoje życie.

Po pierwsze zdecydował się kupić nowy zegarek.

Chęć zmian w nim była tak silna, że postanowił zrobić to od razu, przecież i tak nie chciał wracać jeszcze do domu. Przez przypadek zapuścił się w okolicę, w której był po raz pierwszy. Uliczki wydawały się węższe niż te, które widywał na co dzień, a budynki starsze i bardziej zapomniane w porównaniu ze znaną mu częścią miasta. Na pewno znacznie oddalił się od małego domku, który razem z Cass niedawno kupili. Rozglądając się w poszukiwaniu jakiegoś znajomego szyldu, dostrzegł witrynę sklepu ze starociami. Przypomniał mu się stary kieszonkowy zegarek jego dziadka. John

bez zastanowienia skierował kroki w stronę niezbyt zachęcającego sklepi-ku, do którego zapewne prawie nikt nie przychodził. Lekko pchnął drzwi – otworzyły się bezszelestnie, mimo wyraźnie zardzewiałych zawiasów.

W środku panował półmrok, otulający cały asortyment welonem tajemniczości – jakby jej jeszcze było mało! Wchodząc dalej, dostrzegał coraz więcej różności, od których półki się ugiwały. Rzeźbione zwierzątka patrzyły z góry swoimi lśniąco-czerwono-ślepiami, zegary stojące pod ścianą tykały równo, jakby maszerowały wojskowym rytmem. Ciemne gabloty skrywały kosztowności, od których biłby cudowny blask, gdyby nie gruba warstwa kurzu pokrywająca wszystko.

Sklep wyglądał na bardzo zaniedbany i opuszczony, dlatego mężczyzna postanowił skierować się do wyjścia. Nagle za jego plecami rozległ się dźwięk rowerowego dzwonka. John uznał to za wymysł swojej wyobraźni, jednak obracając się w stronę niespodziewanego odgłosu, dostrzegł rękę chowającą się za ciężką ladą. Ponownie odwrócił się do drzwi i znów ręką zadzwoniła dzwonkiem.

– Halo? Czy jest tu kto? – zawołał.

Jego głos wydawał się tak nienaturalny w tym pogrążonym w ciszy muzeum, że miał ochotę zganić się za jakąkolwiek ingerencję w ten ekosystem. Nagle spod lady wyłoniła się maleńka dłoń, po niej pojawiła się druga, aż w końcu mężczyzna naliczył sześć małych rączek, a chwilę później pokazały się twarzązki trójki roześmianych dzieci.

– Kim jesteś? – zapytał chłopiec z najciemniejszymi oczami, jakie John kiedykolwiek widział.

– Chciałem kupić zegarek – wyszeptał John jakby do siebie.

Dziewczynka, która stała między chłopcami, wystąpiła do przodu, niejako chcąc zakomunikować, że to ona tu rządzi.

– Nie martw się, nasz tata zaraz przyjdzie. – Nagle jej twarz rozjaśniła się, a oczy sypnęły iskrami podniecenia, jakby właśnie przyszedł jej do głowy najwspanialszy pomysł na świecie.

– Pobawisz się z nami, zanim wróci tata? – Jej uśmiech był tak rozbrajający, że bez wątpienia mógłby rozmiękczyć nawet najtwardsze serce, a spoj-zenie jednocześnie zdawało się nie znosić sprzeciwu. Zanim John zdołał cokolwiek odpowiedzieć, dziewczynka chwyciła go za dłoń i zaprowadziła do niewielkiego stolika, stojącego w lewej części sklepu, którego do tej pory nie zauważył.

– Ja mam na imię Helene, a to mój starszy brat Cameron – wskazała na chłopca o czarnych oczach – i młodszy brat Oliver. – Skinieniem głowy przedstawiła zaledwie kilkuletniego brzdąca o jaśniutkich włosach. – A ty jak masz na imię?

Siadając przy okrągłym ciemnym stoliku, dzieci usadowiły się na niewielkiej ławce i wlepiły swoje przenikliwe, małe oczka w mężczyznę. Miejsce naprzeciw nich było puste, jakby przeznaczone właśnie dla Johna, który zajął je, nie spuszczać dzieci z oczu. Miał nadzieję, że zaraz przyjdzie ojciec maluchów i wybawi go od ciekawskich pytań.

– Nazywam się John i nie mam zbyt wiele czasu, żeby się z wami bawić.

– Gdzie się śpieszysz, John? Do domu? Do żony?

To pytanie wypowiedziane przez młodszego z chłopców zmroziło mu krew w żyłach. Skąd, do cholery, te dzieci wiedzą, że ma żonę? W odpowiedzi Helene wskazała palcem na jego prawą dłoń.

– Obrączka. Oli lubi wszystko, co się świeci. – Pogłaskała młodszego braciszka z nad wyraz ogromną czułością, po czym, jak gdyby nigdy nic, zaczęła układać na stole planszę do gry, pionki oraz kostki.

John chciał wstać, ale jedno spojrzenie czarnych oczu przegoniło tę myśl. Siedział teraz grzecznie jak dzieciak w szkole, który ucieka przed wzrokiem surowego nauczyciela, i przyglądał się małym rączkom precyzyjnie rozkładającym wszystkie przyrządy do gry. Pierwszy raz widział tak dziwną planszę. Pole start przedstawiało rączkujące dziecko, które rosło wraz z przesuwaniem się pionka: zaczynało chodzić i jeździć na rowerku, aż w końcu dorastało i stawało się dorosłym człowiekiem, który następnie zaczynał się starzeć. Na mecie zamiast postaci starca była tylko mała kupka kości oraz chuda, niska postać w czarnej szacie z kosą. W pierwszej chwili wyglądała jak dziecko wybierające się na bal przebierańców, ale wystająca spod kaptura czaszka z pustymi oczodołami bardzo szybko rozwiewała jakiegokolwiek wątpliwości.

– Wszystko już gotowe. – Dziewczynka była z siebie wyraźnie zadowolona.

– John, gra, w którą teraz zagramy, nazywa się „Mały Żniwiarz” i pewnie domyślasz się dlaczego. – Popatrzyła na niego wymownie, a kiedy nie usłyszała oczekiwanej odpowiedzi, pokręciła głową z lekką dezaprobatą.

– Jej sensem jest przejście swojego życia i dotarcie do postaci Śmierci. Gra może wygląda na trudną, ale jest bardzo prosta. Ustawiasz swoją postać na starcie i rzucaś kostką. – Zademonstrowała, aby nie było niedomówień. – Kiedy już przesuniesz się o konkretną liczbę oczek z kostki – Helene przesunęła postać malutkiej dziewczynki o trzy miejsca do przodu – zabierasz jedną kartę o takim samym symbolu jak pole, na którym stanąłeś.

Następnie, bawiąc się w nauczycielkę, podniosła małymi rączkami niebieski skrawek papieru i odczytała na głos pytanie, które ktoś zapisał pochylonym pismem:

– „Jakie jest twoje ulubione zwierzę?” Ja akurat bardzo lubię kotki. – Po sekundzie zniżyła głos i nabrała surowego wyrazu twarzy. – I pamiętaj, żeby zawsze odpowiadać szczerze, bo jeśli skłamiesz – popatrzyła na niego groźnie – będziesz rzucał ponownie, a każdy dodatkowy rzut zbliża cię do końca gry i do przegranej. Wygrywa ten, kto umrze jako ostatni. Chcesz rzucać pierwszy? – To ostatecznie pytanie zabrzmiało tak niewinnie i dziecięco, jakby wypowiedziało je zupełnie inne dziecko.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową i zawiesił spojrzenie na niewielkiej ołowianej postaci, którą Oliver przed nim postawił.

– To będziesz ty – oznajmił zadowolony z siebie.

Wybrał żołnierza w małym hełmie i z karabinem przy nodze, który salutował gotowość do walki. John już chciał powiedzieć, że chłopiec pomylił się z wyborem, ale kiedy dostrzegł radość w jego oczach, postanowił nie psuć mu frajdy. Skoro mały widział w nim żołnierza, to czemu raz nie mógłby być jak prawdziwy wojownik? Przecież to tylko gra, pomyślał.

Mały Oliver zaczął się wyraźnie kręcić i ciągnąć siostrę za rękaw.

– Nie powiedziałaś mu o czarnych!

– Faktycznie! Jak widzisz, John, są cztery rodzaje pól z kolorami. Niebieskie to te z najłatwiejszymi pytaniami. – Dla pewności, że zrozumiał, podniosła do góry kartę w pięknym odcieniu błękitu. – Zielone to pytania najdziwniejsze, czerwone są nieco skomplikowane, a czarne – zamachała mu kartką przed nosem – najtrudniejsze. Jeśli źle odpowiesz na takie pytanie, to od razu przechodzisz do następnego czarnego pola, a zauważ, że na planszy jest ich tylko dziesięć! – Mówiąc to, dla powagi uniosła brwi. Jej młodziutka twarzyczka wyglądała jednocześnie słodko i strasznie, nienaturalnie jak na tak małe dziecko.

– Co tu się dzieje?

Wszystkie spojrzenia powędrowały w kierunku starca stojącego w drzwiach, który był wyraźnie zaskoczony zastaną sytuacją. John chciał coś powiedzieć, ale dzieci go wyprzedziły. Ze słodkimi uśmiezkami opowiedziały ojcu o kliencie, którym zajmowały się aż do jego powrotu. Na twarzy staroego mężczyzny zadowolenie mieszało się z przejęciem i strachem, których John nie potrafił uzasadnić.

– Zagrasz z nami, tato? – zapytał starszy z chłopców, który do tej pory milczał.

Dziewczynka od razu ucieszyła się na tę myśl i zachęcała starca do przyłączenia się.

– Tylko jedną partię, tatku, prosimy.

Starzec, wyraźnie bijąc się z myślami, usiadł przy okrągłym stoliku, a sekundę później małeńkie rączki Olivera postawiły przed nim figurkę starca w długiej szacie, opierającego się o laskę. Następna chwila i dwie figurki wylądowały na linii startu, a Helene dołożyła do nich małeńką dziewczynkę z warkoczykami, która przypominała ją samą.

– Nie obrazicie się, panowie, jeśli to dziewczyna zacznie, prawda?

John nie wiedział, czy powinien odpowiedzieć na to pytanie, ale po chwili ciszy Helene, nie przejmując się brakiem reakcji, rzuciła lekko kostkę. Przesunęła swój pionek o cztery pola do przodu na niebieskie tło i powiedziała wszystkim, co jadła na śniadanie.

Gra powoli się rozkręcała, a małe ołowiane figurki na razie trzymały się blisko siebie. John, kiedy przyszła jego kolej, wylosował niebieską kartę i pytanie: „Jaki jest twój ulubiony kolor?”. Od zawsze był to czerwony, ale reszta nie mogła przecież o tym wiedzieć.

– Zielony – odpowiedział bez zastanowienia i już chciał oddać kostkę Helene, gdy zorientował się, że wszyscy patrzyli na niego z dezaprobatą.

– Skłamałeś, rzucasz jeszcze raz – powiedział starzec, ponownie posyłając mężczyźnie potępiające spojrzenie.

John chciał zapytać, skąd mogą wiedzieć o jego kłamstwie, ale coś mówiło mu, że nie ma to sensu, bo oni po prostu wiedzą. Bez sprzeciwu rzucił jeszcze raz i lekko wzdrygnął się, kiedy jego pionek stanął na czarnym polu. Helene wyręczyła go i przeczytała pytanie na głos:

– „Czy kiedykolwiek zabiłeś kogoś lub coś? Kto lub co to było?”

Takiego obrotu sprawy się nie spodziewał. Chciał zapytać, czy to jakiś żart, ale widząc poważne miny na wszystkich twarzach, zdał sobie sprawę,

że musi odpowiedzieć. Przywołując coraz starsze wspomnienia, dotarł do jednego sprzed około dziesięciu lat, kiedy jako szesnaśolatek uczył się jeździć samochodem.

– Zabiłem kiedyś kota sąsiadów, potrąciłem go samochodem.

– A człowieka? Zabiłeś kiedyś człowieka? – dopytywała się Helene wyraźnie zainteresowana.

– To wbrew zasadom, panienko – oburzył się starzec, po czym dziecko natychmiast zamilkło.

Gra toczyła się dalej, padały kolejne pytania, mniej lub bardziej absurdalne. Od rozważań nad ulubionymi potrawami, do kwestii obejmujących częstotliwość mycia zębów i skłonności samobójczych. John był coraz bardziej zdezorientowany, a kiedy tak siedział, zaczął dostrzegać szczegóły, które przedtem musiały mu umknąć.

Jego żołnierzek pozbył się hełmu i już nie salutował, tylko wydawał się biec, jakby chciał się jak najszybciej stąd wydostać. Maleńki starzec dorobił się potężnych, jak na kilkucentymetrową postać, skrzydeł, które ciągnęły się za nim. Najbardziej jednak zmieniła się postać dziewczynki. Nie była już tak słodziutką jak na początku gry. Mała figurka zdawała się tracić swoją dziecięcą radość, a na jej twarzyczce pojawiła się grobowa mina. Króciutką sukienkę zamieniła na długą i wyraźnie poszarpaną suknię, a w małej rączce trzymała długi kij, zakończony ostrą końcówką na kształt włóczni. John nie wiedział, czy to tylko oczy go zwodzą, czy to mózg przeoczył tych kilka szczegółów na samym początku.

Dotarli już do połowy gry. Niebieskie pola zastępowały czerwone i zielone ze zdecydowanie coraz dziwniejszymi pytaniami.

„Co zrobiłbyś, widząc rannego człowieka w ciemnej uliczce?”, „Czy oddałbyś coś cennego dla siebie komuś zupełnie obcemu, żeby uratować mu życie?”, „Czy odważyłbyś się zjeść żabę?”

Odpowiedzi rywali też zaskakiwały. Nie spodziewał się, że tak niepozorne osobki mogą mieć złe i aż cuchnące zgnilizną dusze. Kilkakrotnie pytał sam siebie, czy naprawdę byłby w stanie zrobić tak złe rzeczy, jak na przykład okraść staruszkę, zabić kota dla przyjemności, czy uderzyć żonę.

W świetle najnowszego odkrycia przy tym ostatnim się zastanowił, a jego odpowiedź była pozytywna. Teraz, kiedy pomyślał, że sypiał w tym samym łóżku z kobietą, która od roku bawi się nim jak zabawką, było mu

siebie żal. Ten żal bardzo szybko zmienił się w złość, a później w nienawiść do kobiety, za którą jeszcze niedawno oddałby życie.

– „Kochasz kogoś?” – W pierwszej chwili dla Johna to pytanie z czarnej kartki było policzkiem w twarz, jednak szybko się otrząsnął.

– Nie, już nie kocham tak jak dawniej.

W oczach dzieci nie dostrzegł już dezaprobaty jak przy próbie wcześniejszego kłamstwa. Tym razem widział w nich niebezpieczną iskrę zadowolenia. Cameron, który od początku gry nie odezwał się ani słowem, teraz zatrzymał spojrzenie na Johnie.

– Przypominasz mi swojego ojca. On też wydawał się wiecznie skrzywdzony, ale w środku doskonale wiedział, kto jest odpowiedzialny za całe zło, które go śpotyka. On sam. Każdy dostaje to, na co zasługuje, czy jest tego świadomy, czy nie.

Mężczyzna był wyraźnie zdezorientowany. Przecież to tylko dzieci! Jak one mogły...

– Nie udawaj, że nie zauważyłeś – ciągnął chłopiec. – Przecież musiałeś odkryć, że dzieje się tutaj coś dziwnego: na półkach słoiki pełne ludzkich części, krwawe plamy na podłodze, sklep, który nie powinien już istnieć, a jednak nikt go nie zamknął. Aż w końcu my, dzieci, które wiemy, kiedy kłamiesz, i znamy twojego ojca, bo dwadzieścia lat temu siedział na tym samym miejscu, co ty teraz. Naprawdę jesteś aż tak ślepy?

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niemu. Mężczyzna rozejrzał się i jego oczom ukazało się to, czego przedtem nie zauważył lub po prostu nie chciał widzieć. Makabryczne ludzkie głowy zalane dziwnym żółtym płynem, smród gnijącego ciała, którym przesiąknięte było powietrze i ONI.

Stary anioł już prawie bez piór na kościach, wystających z pleców.

Troje dzieci różniło się teraz tylko wzrostem. Wszystkie w czarnych, podartych strojach z kapturami, spod których białały dziecięce czaszki. Małe kościaste rączki ścisnęły różne ostrza: nóż, włócznię i kosę.

– Twój rzut – oznajmiła Helene, a raczej mały szkielet, którym teraz była.

John wziął delikatnie w palce kostkę i rzucił, nie odrywając wzroku od postaci, które wydawały się nierealne. Oliver przesunął pionek i podał mu czarną jak jego strój kartkę.

– Zastanów się! Jeśli odpowiesz źle, zginiesz – powiedział malec.

Gdyby jeszcze miał oczy, jego spojrzenie byłoby zapewne pełne współczucia i otuchy. John drżącą ręką wziął od małej postaci kartkę, a jego oczy przesuwaly się powoli po białym, równym piśmie. Nie potrafił nawet przeczytać tego na głos. W jego głowie pojawiła się pustka. Od razu chciał odpowiedzieć: NIE, ale przypomniał sobie to, co powiedział Cameron. Jego ojciec też siedział na tym miejscu i możliwe, że musiał odpowiedzieć na to samo pytanie.

– Nie, nie mógłbym tego zrobić.

Starzec posłał mu lekki uśmiech.

– Kłamiesz, chłopcze, i w głębi serca dobrze o tym wiesz. Cóż, w tej chwili umierasz i mówię nie tylko o twoim pionku, ale i o tobie.

Mała, kościata rączka Oliego spoczęła na jego dużej dłoni i uściśniła ją w geście otuchy.

– Istnieje jednak możliwość, abys wyszedł stąd żywy.

W głębi duszy John doskonale wiedział, co musi zrobić, żeby odzyskać od Małych Żniwiarzy swoje życie.

– Wystarczy zmierzyć się z pytaniem, od którego się zginęło. – Helene mówiła bardzo rzeczowo, właściwym sobie tonem nauczyciela. – Skłamałeś, więc tym razem musisz odpowiedzieć szczerze, jeśli chcesz żyć. Damy ci dzień na odpowiedź. Po tym czasie odwiedzimy cię i uczynimy to, co będzie trzeba. A teraz idź już, Johnie.

Cameron wstał, ale zdawał się unosić nad ziemią, kiedy odprowadzał przerażonego mężczyznę do drzwi. Na koniec podał mu dłoń, którą ten uściśnił, nie zwracając uwagi na to, że trzyma w ręce ludzkie kości.

– Poradzisz sobie. Oby lepiej niż ojciec.

John nie odpowiedział i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że w lewej dłoni nadal trzyma czarną kartkę. Wypuścił ją natychmiast, jakby była zakażona jakąś ohydłą chorobą.

Wyszedł ze sklepu i, nawet nie wiedząc kiedy, stanął przed swoim domem. W środku paliło się światło, świadczące o czyjejs obecności. Pomyślał o żonie krzątającej się po kuchni, a jego oczom znów ukazały się białe litery na czarnym tle: „Czy byłbyś w stanie zabić swoją żonę?”

Pomyślał o ojcu, który nie mógł żyć z poczuciem winy. A czy on będzie? Kładąc na szali życie swoje i żony, całą drogę zastanawiał się, co powinien zrobić. W końcu przecież sam odpowiadał za to, że dał wciągnąć

się w tę straszną grę, a jednak, jakby nie spojrzeć, żona zdradzała go od ponad roku. Ale czy to naprawdę jest powód, żeby zabić?

Uniósł dłoń do klamki i pchnął lekko drzwi, te zaskrzypiały długo i przeciągle, a kiedy delikatnie się zamknęły, tylko one wiedziały, co tak naprawdę wydarzyło się tamtej nocy.

Marianna

Umerle

Artyzm jest dla mnie umiejętnym ubieraniem – w słowo,
w kolor, w dźwięk – nagiej rzeczywistości. Wybór kreacji zależy
od samego twórcy-projektanta; wszak to on decyduje o tym,
co zostanie wyeksponowane, a co zasłonięte.

MiauRycy kontra czwartek

Godzina 6.34

– *Good morning, good mooorning! We've talked the whole night through, good...*

Nurkuję ręką pod łóżko i wyłączam budzik palcem konającego człowieka. Ziewam, rozciągam się. Otwieram oczy.

Jest czwartek, najgorszy dzień tygodnia. Czwartki zostały wymyślone po to, żeby mnie zniszczyć.

Ile ja bym dał, żeby czwartki były tak znośne jak wtorki! We wtorki mam dwoje zajęć z rzędu w tej samej sali, w czwórcę. Tym samym liczba cztery stała się dla mnie symbolem szczęścia, zagrzanego krzesła i spersonalizowanej ławki w jednym budynku.

Ale jest czwartek. Dzień trzech sal. Dzień zimnych krzeseł i obslizgłych ławek.

Boli mnie głowa. Przeciągam się raz jeszcze, wydając przy tym osobliwy dźwięk. Dla ciebie może być kuriozalny, dla niej nie jest, bo ona go zna, rozumie. Gdyby nie leżała obok, w życiu bym się teraz nie obudził. Kto wie, może nawet by mnie tu nie było. Może porzuciłbym to całe studiowanie, przez czwartki właśnie.

Odwracam się do niej przodem. Posyłam błądy uśmiech. Wyglądam przy tym jak kobieta po porodzie, która właśnie dostała w ramiona ciepłe dziecko.

Jest piękna, jak zawsze. Wyciągam rękę, żeby przywitać jej ciało dotykiem. Miziam ją za uchem, a ona mruży oczy – duże, zielone, migdałowe oczy, najpiękniejsze oczy w tej części świata, piękniejszych nigdy nie widziałem. W końcu nie wytrzymuję i wpijam się palcami w jej szyję, bo jest ucieleśnieniem szczęścia, jego leżącą przede mną definicją. Czwórka to przy niej tylko symbol, przyjemny bodziec w głowie.

- Mrrr... – odpowiada.
- Mrrr... – odpowiadam i ja.

Patrzę na nią i widzę, że też nie czuje się najlepiej. Moje palce wędrują pod ośpały pyszczek, przybliżam się. Teraz jej nos i mój nos to jedność, jedyna słuszną całość w czwartkowym rozstrojeniu. Składam na jej nosku pocałunek. Próbuję ją pocieszyć, że przecież w czwartki to normalne, bo w czwartki oboje jesteśmy nie najlepsi. Rozumie mnie bez słów.

Zaraz muszę wstać.

Godzina 7.19

- Rycy, kurwa!

Krzyszczę się mlekiem. Kukurydziany płatek śniadaniowy utkwił mi w gardle.

- Rycy!

Angel pojawia się w progu kuchni. Idzie na 9.45, kończy i zaczyna później niż ja. Wygląda jak kretyn w tej swojej satynowej piżamce, jest obślizgła jak czwartkowe ławki. W końcu udaje mi się odkrzusić intruza. Wzdycham ciężko i rzucam pytające spojrzenie w stronę Angela.

- Znowu się zeszczęła! Znowu, ja pieprzę!

- Mówiłem, żebyś nie trzymał portfolio pod łóżkiem – odpowiadam i przelękam ciepłe mleko.

- A nauczysz ją kiedyś, że szcza i sra się tylko do kuwety? Co? Nauczysz ją? Czy będzie mnie regularnie podszczywać w moim własnym studiu?

- Angel – mlaszczę. – To ze stresu. Ostatnio masz dużo sesji, dużo ludzi. Sam wiesz, jaka jest płocha.

- Stresu? Że niby co? Że niby...

Biegnie do pokoju. Ja znowu wzdycham, przewracam oczami, zeruję miskę z mlekiem i płatkami. Po chwili wraca.

- To ją stresuje, tak?! – Angel rzuca mi na stół plik zdjęć. Śmierdzą.

- Zwariowałaś? – pytam, marszcząc czoło. To tylko pytanie retoryczne.

- Zuza ją stresuje? Natalia? A może Karolina, może nogi Karoli ją stresują? – Pokazuje mi zdjęcia, wachluje mi nimi przed nosem. Jest poirytowany i zadowolony jednocześnie. Przełyka ślinę, wygląda na głodnego, ma rozbiegany wzrok. Znowu nie spał w nocy, znowu siedział do późna przy laptopie, palił w oknie, wietrzył pokój, nagabywał w międzyczasie laski na Tinderze, zapijał ich nogi i obojczyki energetykami.

– Zamykaj drzwi do studia na klucz. Okej?

Nie odpowiada, zapatrzył się. Ale ja nie zamierzam czekać. Wstaję, idę do przedpokoju, narzucam kurtkę, zakładam torbę na ramię. Wychodzę, bo już dawno powinienem być w metrze.

Godzina 16.35

Kampus główny. Stoję przed budynkiem wydziału. Jestem w samym sercu uniwersytetu, sercu otłuszczonym uczelnianym blichtrzem. Mijają mnie ludzie; młodzi, przezroczyści, zbici w jedną studencką masę. Dzisiaj to poczucie potęguje się, ulega rozmaitym wynaturzeniom. Mam do nich żal, że są tak różni, a i tak wszyscy tacy sami – palą, skrzeczą, potykają się o własne nogi, stukając palcami w smartfony, wylewają kawy z mlekiem sojowym i pędzą gdzieś w kółko, jakby mieli zaraz umrzeć, jakby wieczny pośpiech był oznaką prestiżu.

Z wiadomych względów obchodzi mnie ta żeńska część masy, jej cytrusowo-piżmowa odmiana. Jednak im bardziej się w nią zagłębiam, tym bardziej czuję, że coś się w niej nadpsuło. Że jakiś wirus nowoczesności opanował te wszystkie Zuzy, Natalie i Karoliny, obrysował im usta, napompował tyłki i włożył w główki echo próżnej, egoistycznej pułki. Odkąd tu jestem, widziałem wiele piękności. Jest ich pełno, są wszędzie. Widziałem śliczne, opalone brunetki z orzechowymi oczami i zadbanymi dłońmi; widziałem słodkie blondynki z małymi noskami i kolczykami w kształcie koła w małych uszkach; widziałem mnóstwo spódniczek, opiętych spódnici, obcasów naprężających nogi; widziałem jak chodzą, suną po chodnikach, potykają się, kołyszą wdzięcznie na boki. Bolała mnie głowa od krzyków, śmiechów, niedyskretnych rozmów, cukierkowych półszeptów. Błyszczały mi oczy na widok pajęczych rzęs i konturowych brwi, źrenice rozszerzały się jak dwie czarne dziury.

Początkowo nie rozumiałem młodych, pięknych kobiet. Nie rozumiałem, czemu są takie, a nie inne, i czemu, gdy na nie patrzę, mam ochotę napisać setki różnych historii na ich temat, tych umiarkowanie prawdziwych i tych utopijnych. Wyobrażałem sobie, że wcale nie są takie, jakie są. Że mają te swoje piękne twarze i ciała, ale usposobienie Lilianny. Że jestem w stanie być dla nich, a któraś z nich jest tylko dla mnie.

Ten okres trwał krótko. Skończył się, kiedy zamieszkałem z Anielem i zacząłem amatorsko operować blendą przy sesjach tychże cudów natury.

Angel jest fotografem. Robi zdjęcia na ślubach, chrzcinach i osiemnastkach. Największe kokosy zbija na sesjach w studiu. Przez nasze mieszkanie przewija się tygodniowo kilkanaście dziewczyn; studentek, rzadziej licealistek. W większości przypadków są to magnetyczne piękności, za którymi oglądam się i ja, bo z reguły piękności, świadome swojej urody i swojego ciała, są w stanie wydać ostatecznie pieniądze zarobione w kawiarni albo odzieżowce na profesjonalną sesję u Angela w studiu.

Każda piękność pochodzi z tej samej masy, którą ugniata wirus. Nie ważne, czy są brunetkami, czy blondynkami. To pozornie różne właściwości. Ważne, że mają ten sam rodowód, rys gwiazdek z Instagrama, fitnessiar nasmarowanych olejem kokosowym, wyuzdanych lajkożebaczek. Można na nie patrzeć godzinami, ale nie da się ich słuchać dłużej niż godzinę. Znaczą: da się, ale trzeba być głuchym, albo – co gorsza – Angelem. On zresztą ma ze mnie niezły polew, a ja z niego.

Odnoszę wrażenie, że wirus się rozprzestrzenia. Żeńską masę tworzą jeszcze jakieś słabe pierwiastki, ale one zostają szybko wypierane przez zarażone. Normalny samiec w stolicy nie zwraca na takie słabe uwagi. Ja też nie zwracam, bo *recentissimorum modorum* pewnie już przeszedł i na mnie, wżarł mi się w mózg, zostałem szybko przejęty i zaprogramowany. To kwestia czasu, kiedy wszystkie będą pachnieć piżmem i cytrusami, wydymać obrysowane usta, wypinać tyłki, kiedy rzeczywiście będą jedną i tą samą masą, jaką teraz są w mojej głowie. Mam wrażenie, że łapią go jedna od drugiej. Nawet te aspirujące śliczności, nieudolnie pomalowane pierwszoroczne, nieświadome i płocze, za którymi czasami obejrzałem się z jakiegoś dziwnego rodzaju tęsknoty, one też go złapią. Są w fazie przygotowawczej. Przedchorobowym stadium.

Czuję się jak śmieć. Wytelepany, wymiętoszony, wygnieciony jak awokado na promocji. Co rusz zawieszam na jakiejś wzrok. Jestem rozbity, mój wzrok też jest rozbity, tak to działa. Chodzące laleczki. Rozkojarzają mnie, ale ja naprawdę wszystko słyszę, a do Angela mi daleko.

Tęsknię za nią. Ona też jest głodna. Muszę jak najszybciej dostać się do metra i ją nakarmić. Wiem, że będzie na mnie czekała, że jak zwykle zrozumiemy się bez słów. Po prostu zjemy razem obiad, ona swój, ja swój, a potem usiądzie mi na kolanach. Spędzimy razem kolejną noc. Prześpiemy całe życie.

Zmierzam w stronę bramy głównej. Wbijam się w masę, wpadam na jakiś szary płaszcz, duszę się od perfum i szlug, próbuję złapać równowagę, choć czuję, że zaraz rozsypię się na kawałki. Będą po mnie chodzić jak po mozaice w kościele, rozdepczą mnie tymi swoimi czarnymi botkami z sieciówek, wypalą oczy popiołem jagodowo-miętowych lucky strike'ów.

Coś podchodzi mi do gardła, uderza w skroń, to jakaś transformująca się gula. Lada moment wybuchnę. Pęknie mi głowa, przysięgam. Lada moment.

Godzina 16.47

– Wszystko w porządku?

Gdzieś od potylicy dobiega mnie cichy szept. Nie wiem, skąd przywędrował, po co i dlaczego do mnie.

Ocknąłem się. Jestem sפוcony jak świnia. W domu czeka moja kotka Li-lianna, czeka blenda, którą będę trzymać wieczorem i zapewniać jaśniejszy blask naoliwionym ciałom. Och, po co i dlaczego do mnie? Czemu brzmisz jak Lila, czyżby Lila przyszła do mnie? Wsiadła w metro, zapłaciła za bilet zielonymi oczami?

Nie. Nie jest w porządku.

Odgarniam włosy z czoła. Mam powieki sklezione potem, to moja zaprawa murarska. Gdyby nie pot, runąłbym tu i teraz.

Nie wiem, jak do tego doszło. Siedzę na ławce, przy kiosku. Lubię go, bo ma coś w sobie. Na tle dostojnych, bielonych budynków wygląda jak przeszczepiona tkanka z obszaru za bramą. Też jest dostojny, na swój sפוסób; ma ładny kształt, niezupelnie kioskowy. Mieści wszystko, czego potrzebuje zabiegany studentiak – długopisy, bilety, kanapki, energetyki i kawę. Sałatkę owocową za 5,50.

Ona trzyma ją w rękach, musiała z niego wyjść przed chwilą. Ma białe ciało, jest biała jak te budynki, przeszczepiona jak kiosk.

– Wszystko w porządku? – pyta głośniej. Teraz widzę jej usta; małe kocie wargi.

To sפąd.

– Tak – dukam w odpowiedzi. Jestem zdziwiony, jakbym zorientował się przed chwilą, że właśnie tak brzmię. Nie przewidziałem tego.

– Nie przewidziałem tego – dodaję.

Uderza mnie migdałowym wzrokiem. Pot ścieka mi z czoła. Teraz się rozpuszczam, lepię jeszcze bardziej. Jestem słodkim owocem w jej plastikowym pojemniczku.

Długowłosa kotka z bielonym pyszczkiem, zadartym noskiem, wygięta w asymetrycznej pozie. Pachnie mlekiem, bije od niej ciepło. Nie może być z pierwszego roku. Wygląda jak ukuta wprost dla tej ławki, dla tego kiosku i budynków. Wrosła kocimi łapkami w przestrzeń kampusu. Jest tutaj nie od dziś, a ma głos, jakby nigdy jej tutaj nie było.

– Tak myślałam. – Kiwa głową, zakłada włosy za ucho. Coś w środku mnie łaskocze, ją też, bo się czerwieni. Zaraz odkrztusi kłaczek.

Ma w oczach zielony wabik, nie mogę prześtać się w nie patrzeć.

Nie spodobałaby się Angelowi. On robi zdjęcia oczom z doklejonymi rzęsami, oczom przymrużonym w despotycznej roli, roziskrzonym próżnością. Nie wyobrażam jej sobie w studiu na Bielanych. Nie wyobrażam sobie, jak napina ramiona, odchyła szyję, jak Angel zbliża twarz do podglądu, mruży oko, mówi: „A teraz patrz tak, jakbyś chciała kogoś pożreć wzrokiem. O tak, pięknie. Bardziej do mnie. A teraz rozchyl wargi. Naaajs”, a ona robi to wszystko, dokarmia swoje obrysowane szminką ego i wygląda, jakby w obiektywie mieszkał nagi Ryan Gosling. W jej wykonaniu byłoby to bardziej groteskowe, niż bywa z zasady.

Pasuje mi do zdjęć, jakich Angel nigdy nie robił, a jakie ja zawsze chciałem. Pasuje mi do dziewczyn, jakie nigdy do nas nie przychodziły, a na które ja z czasem przestałem zwracać uwagę. Przestałem, bo przecież jestem chory. Zaraziły mnie.

Mam poczucie, że nie przynależę do nikogo, bo przynależę do nich wszystkich. Tylko kotka mnie ratuje, jej ciepło, jej stałe miejsce na moim łóżku.

Czwartki rozbijają mi wzrok, rozbijają moje jeśteństwo. Szczują mnie, odwracają uwagę od tego, co najważniejsze. W czwartki jest mi zimno, bo siedzę na trzech krzesłach i żadnego nie kocham. Uczelniane ławki są ohydne jak mięsiste ślimaki, pokryte śluzem z miliona innych palców. W czwartki najbardziej jestem niczyj.

Umieram z tygodnia na tydzień.

Godzina 18.40

– Nakarm mnie.

Milczę. W rękę ściskam mokry i zimny karton w łaty.

– Nakarm.

Wbijam palce w teksturę. Mleko chlupocze, napęlnia metalową miskę. Gdzieś za ścianą słyszę pstryknięcia. Kątem oka widzę światło flesza na korytarzu, mrugnięcia oka diabła. Mam wrażenie, że nigdy tam nie byłem, bo nie miałem prawa, to teraz obca przestrzeń. Wiem, że u Angela jest biało, sterylnie, jak w szpitalu. Zapach tanich energetyków i drogich perfum tworzy duszący, rozpuszczający mnie od środka odór. Nie chcę już o tym myśleć. Nigdy tam nie byłem. Naprawdę, nigdy.

Odwracam się do niej. Siedzi przede mną, tak jak parę godzin temu. Siedzi, jakby zawsze tu siedziała. Moje łóżko robi za ławkę obok kiosku.

Czuję jak ociera się o moje nogi, mruczy. Kocha miękką sierścią.

– Proszę...

Zawstydz mnie, ale nie odrywam od niej wzroku.

Podnoszę się z krzesła. Mam śpodnie w białym puchu.

– Taaak, a teraz wygnij się jeszcze bardziej. Patrz na mnie. Pstryk. O tak, naajś. Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Kap, kap. Nalewam jej mleko do szklanki.

– Pstryk, pstryk. Przybliżasz się do mnie, o tak. Bliżej. Pstryk. Pstryk.

Kap, kap.

– Pstryk. Jesteś piękna, wiesz?

– Wiem.

Świdrujący głos. Chwila ciszy za ścianą. Diabeł nie mruga, wytrzeszcza oczy. Uśmiecha się złowieszczo przed posiłkiem.

– Jesteś piękna, wiesz? – mówię do niej. Odgarniam jej włosy za ucho, żeby nie musiała robić tego sama. Już nigdy nie będzie.

– To dobrze, że wiesz.

Szuranie krzesła. Coś upada na podłogę. Słyszę, jak zaczyna ją jeść.

Głaszczę jej różowy policzek, dotykam czubka nosa. Wręczam szklankę z mlekiem. Nie mam odwagi na więcej.

Wirus wiruje za ścianą, tańczy diabelską rumbę, brudzi sterylność. Rozbestwia się, codziennie o tej porze.

Mleko.

Mamy je pod stopami, mamy je na wysokości kolan. Zaraz będziemy je mieli na łóżku i pod sufitem. Mleko zalewa pokój. Mój pokój pływa w białym syropie. Oczyszcza mnie, skleja, jest lepkie. Mam je teraz na powiekach, na ustach, pod skórą.

W studiu na Bielanach panuje cisza. Nie słyszymy sapania wygłodnia-
łych zwierząt i szurania butów diabła, choć słyszeliśmy je wszędzie, gdy by-
liśmy głusi. W luźrze na korytarzu nie odbija się flesz. Ja już nigdy nie dam
się oślepić, nie będę gryzł zębami blendy.

Jeستم zdrowy. Jeستم syty. Ona też, bo pożegnaliśmy głód.

Pożegnaliśmy czwartek, Lilianno.

Lidia
Majchrowicz

Artyzm – brzmi jak coś, co można postawić na stole. Cecha dzieła stworzonego przez artystę. Myślę, że to coś w rodzaju akupunktury, która powoduje ukłucia duszy i ona czasem pęka jak bańka. Artyzm czasem zmienia człowieka tak bardzo, że może się potem sam nie rozpoznawać.

Człowiek, który chciał mieć raka

Każdy ma jakichś wrogów. A jak nie ma, to znaczy, że albo o tym nie wie, albo ma takiego wroga jak ja.

W zasadzie nie lubię o nim mówić, choć niektórzy zarzucają mi, że właściwie to nie mówię o niczym innym. Twierdzą, że mam paranoję. Cóż, może i mam – też byście mieli. To przez nadmiar świadomości. Tylko ja mam świadomość, kto na mnie czyha. A to naprawdę przerażające.

Otóż – moim wrogiem jest Czas.

Nie od razu się zorientowałem. Takie odkrycie nie pojawia się ot tak. Zwłaszcza, kiedy wciąż jest się dzieckiem. Wtedy pędzimy beztroski żywot pozlewanych w jeden ciąg wakacji, weekendów i przerw świątecznych pełnych uciech, słońca i zabawek. Dopiero potem zaczynamy się zastanawiać, dlaczego wszyscy inni są tacy wysocy, a ja jeden dalej konus. Albo dlaczego Mama powoli uzależnia się od kremów przeciwmarszczkowych...

Tylko że to przychodzi, *nomen omen*, z czasem. Ach, szczęśliwe chwile beztroski, gdy nie miał on do nas dostępu! Ale i to się kończy.

Ja się domyśliłem dopiero na studiach.

Ale kłopoty miałem od samego początku.

O ile pamiętam, zaczęło się od spóźnień do szkoły. Notorycznych. Oczywiście nikt nie wierzył, że to nie jest moja wina. Wszystko działa się niezależnie ode mnie. Bo co ja poradzę, że autobusy odjeżdżały albo za wcześnie, albo za późno? Dlaczego one mnie tak omijają jak Czarną Śmierć? Jak jestem przed czasem, to one są spóźnione, a jak lekko się spóźnię – bo sen nieco za mocno sklepi mi powieki, a kołdra owinie się niczym kokon – to są przed czasem i zwykle dawno pojechały! W czasach liceum dorobiłem się

dziesięciu budzików, a i tak dalej przychodziłem za późno. Raz, specjalnie nie spałem całą noc, żeby nie przegapić poranka i co?

Nic, to była sobota.

W tym momencie można wysnuć następujące wnioski: po pierwsze, powinienem wymienić wreszcie baterie w budziku, oraz po drugie, przyczepił się do mnie pech. Tyle że nie. Ja też tak, naiwny, sądziłem. Zaopatrzyłem się więc w czterolistną koniczynkę, której długie godziny szukałem po skwerach wiosną, aż się nabawiłem przeziębienia. I w teczce taszczyłem starą, znaną z przynoszenia farta, podkowę po ukochanym kucyku siostry, który wjechał w traktor. Miałem nadzieję, że to mi coś pomoże. Ale znowu się przeliczyłem.

Moim najgorszym koszmarem była matura. Spóźniłem się na polski. Nie chcieli mnie wpuścić i musiałem pisać poprawkę w wakacje. Co za wstyd! Mama powiedziała, że będzie chodzić zakwefiona przez resztę życia, a ojciec chciał zmienić nazwisko. Pośtanowiłem więc zamieszkać w namiocie pod budynkiem szkoły – przed kolejnymi egzaminami budzili mnie koledzy. Niestety, wtedy zacząłem mieć problemy ze zmieszczeniem się w danym czasie i dokończeniem arkuszy.

Myślałem, że po maturze będzie już z górki. W końcu studia, niekończące się wodośpady wódki, balangi całą noc, szalone wypadki... I dziewczyny.

Oczywiście miłość przyszła kompletnie niewczas. Ale podobno tak jest zawsze, więc najpierw się nie przejmowałem. O moich perypetiach opowiadałem kolegom przy flaszkach. Brylowałem. Byłem niezwykły: moje stare kłopoty wydawały się zabawne, a poza tym jakże dowcipnie układały się w wygodne do obnoszenia korale losu. Nie pamiętałem, że kiedyś traktowałem to poważnie.

Zapomniałem o agonii mojej ukochanej szynszyli, której leki podano za późno... Albo o tych niezliczonych obiadach, gdy za wcześnie ściągałem z gazu ziemniaki i dalej były twarde. I jak rodzice niemal zawsze zapominali o moich urodzinach... I jak umarli Dziadkowie, a ja nie zdążyłem przyjechać na czas, żeby ich pożegnać...

Ale najgorsze dopiero miało nadejść.

Jak już może wspominałem, zakochałem się. Pierwszy raz, a przynajmniej tak mi się wydawało. Tak się zawsze wydaje. Nazywała się Klara i to było absolutnie najładniejsze imię na tej planecie, chociaż teraz go niena-

widzę. Przepadłem kompletnie. Anglistyka, pierwszy rok. Oświadczyłem się po kilku miesiącach znajomości. Trochę szybko, być może, zawsze mi mówili, że w gorącej wodzie kąpany – ale okazało się, że jeszcze nie dość szybko... Już jej inny dał pierścionek, a ona go przyjęła. Miał własną firmę. Informatyk. Z irokezem. A nie to co ja – bez wąsów, w wymiętej koszuli i w kapeluszu z rondem.

Dalej na myśl o tym ściska mnie w żołądku.

To wtedy zacząłem się nad sobą wnikliwie zastanawiać. Bo ze mną to musi być coś nie tak. Weźmy takie kwiaty – ja je zawsze ślicznie dobieram. No ale dlaczego one mi więdną szybciej niż innym? A na przykład mój pokój – ja mam idealnie posprzątany. Tylko zawsze nie w porę. A wpłata na konto przychodzi zawsze po czasie. Po prostu nie da się porządnie zapłacić za czynsz. No nie da się.

I dlatego musiałem się przeprowadzić z dawnej wygodnej kawalerki do małego pokoiku w mieszkaniu starego Zegarmiśtrza. Ale nie żałuję. On mi stworzył oczy.

– Ja wiem, że Czas jest niezbędny do życia. Bez niego nie byłoby ruchu i tak dalej. Ale jemu się wydaje, że on nami rządzi. – Tak mówił mój Miśtrz. Uważałem to za brednie.

– Bo rządzi – mówiłem.

– Oto kolejny jego niewolnik – mówił on, starannie oliwiąc mechanizmy i „nanizając” oko na maciupkie monokle, by badać wnętrza zegarków.

– Zegary starają się zniewolić Czas i dlatego je zbieram – mówił mi nieco skrzypiącym głosem.

Miał na ich punkcie obsesję, którą mnie chyba zaraził. Był uzależniony od liczenia Czasu. Całe ściany pokrywała jedna wielka makata z kalendarzy, których on nigdy nie wyrzucał – na przemian z zegarami, które tykały, dzwoniły, cięły powietrze wahadłami i kukały kukułkami. Spędzałem na nakręcaniu ich długie godziny. Miałem drabinkę i wchodziłem czasem pod sam sufit, żeby dostać się do jakiegoś wyjątkowo skrytego mechanizmu. Kochałem je za to, z jaką niewzruszoną pieczołowitością szatkowały Czas na sekundy.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak ogromnym złem jest Czas.

Czy wiecie, że dawniej nie można było dwa razy trafić na tę samą wyspę, bo szerokości geograficzne gięły się jak węże, zamroczone Czasem jak podstępny fakirem? Dopiero wynalezienie chronometru wyzwoliło nas od tego chaosu. To on jako pierwszy ukazał złożone machinacje Czasu. I naprowadził nas na nowe lądy.

Pozwolił zanieść manię Czasu do innych światów... Sprytne! My, ludzkość wielce zadowolona z siebie, głosiciele Ewangelii – i roznosiciele zarazka, wstrętnego, ohydneho uzależnienia od uciekającej chwili...

Za bohaterów światowych uważam bezimiennych wynalazców zegara słonecznego czy wodnego. Już faraoni mieli je w swoich grobowcach! Czy to nie straszne? Jakby bali się, że nawet po śmierci Czas ich będzie gonił...

O klepsydro, twe kształty piękniejsze niżli Wenus! Zachwycałem się Henleinem, który schował nam Czas do kieszeni, i – ach! – i Breguetem, co wyciągnął go śtamtąd i umieścił niczym posłusznego ptaka na naszych nadgarstkach! A jego tourbillon, którym rozłożył na łopatki grawitację! Zacztywałem się w pismach da Dondiego. I słuchałem Miśtrza.

Tak, zegary były dla nas wszystkim. Jedyne istoty, które umiały złapać i ukazać bezsensowną, niewidzialną pogoń Czasu. Ujawniały nam jego niecne sztuczki w pozornym tykaniu. Były wspaniałe!

Próbowałem rozmawiać z kolegami. Pytałem, dlaczego moje tosty są zawsze zwęglone? Ale śmiali się, choć przecież to zwyczajny przykład, jak Czas nas oszukuje. W tych krótkich, nic nieznaczących momentach, przypala jedzenie. Gdybym sięgnął po nie wcześniej, to byłyby w porządku. Ale nie mogę tego zrobić, bo ich już nie ma, są w przeszłości.

Mówiłem, Czas jest strasznie subiektywny. Ukrywa się. „Ale gdzie?” – pytały mnie koleżanki. Nie wiem, pewnie w zmarszczkach. Bo dlaczego niektórzy starzeją się szybciej od innych?

Zacietrzewiłem się raz, jak Majowie przepowiedzieli koniec świata? – ha! – pewnie mieli rację, ale ON na to nie pozwolił, bo jak my zginiemy, to i ON! „Jaki On, co ty bredzisz?” – pytali mnie, a ja mówiłem: „Koniec świata to Koniec Czasu!”

Albo dinozaury, perorowałem, specjalnie je nam podrzucił, żebyśmy wierzyli, że był przed nami i że jesteśmy mali... Zdani na jego łaskę... Że nic nie wiemy, co było dawniej... Że on nas wszystkich ze sobą zabierze, zamąci nam w głowach, ukryje, co zechce, i co innego na wierzch wyrzuci...

Historia – historia to jedno wielkie kłamstwo dyktowane przez Czas!

Kręcili głowami. Mówili: „Zostań jak zwierzę, one nie znają czasu”.

Ale znały! Znały! Spojrzałem na nich z pogardą. Skąd wiedzą, kiedy chować żołądździe, kiedy zapadać w sen zimowy? Słońce i księżyc są na jego usługach...

Bąłem się, nie wychodziłem nigdzie bez mojego zegarka. A co jeśli padnie? Zostanę sam, w bezbrzeżnej otchłani upływającego Czasu. On mi wyciąga moje życie spod nóg niczym umykające piaski.

Wtedy Miistrz podarował mi swoją tajemnicę – zegar, który nigdy nie staje. Jedyny, który ostatecznie pokonuje Czas. Który go wyłącza. Właściwie to nie jest zegar w ścisłym znaczeniu tego słowa.

To Chronofag.

Istota, która zjada Czas.

Obiecał, że go po nim odziedziczę.

Mówił mi najpierw o telomerach – i zadrzałem. Jak dają się ciąć! Nawet one knują z Czasem. Cząstkę nas. Nie dam się zabić przez starość, przyrzekłem sobie w nocy. Nie dam.

Mistrz nie chciał mi zdradzić nic więcej.

Bolała mnie głowa od tego ciągłego tykania. Było to jakbyśmy mieszkali z setkami ukrytych bomb. Które znają jego tajemnicę, a ja nie. Nienawidziłem Miistrza za to.

Bo czy nie rozumiecie? Nie chciał mi powiedzieć TERAZ. A dla mnie istnieje tylko teraz... Chcieć mi to wyznaczyć później to jak rzucić mnie na pastwę Czasu! Długie, niekończące się męki oczekiwania... przyglądania się, jak w klepsydrze obojętnie przesącza się moment za momentem. Z szelestem, który robił z mojego mózgu sieczkę...

Jak on mógł, jak on mógł?! Jedyny człowiek, który rozumiał, jakim złem, jakim koszmarnym bezceństwem jest liczenie na Czas!

Wreszcie sam odkryłem, jak działa ta istota. Na wykładach, bo dalej chodziłem na zajęcia.

Nazywa się RAK.

To on daje nam obojętność na Czas. Niszczy p53, wstrętnego łotra śpi-
skującego z Czasem. Wtedy nasze komórki wiecznie się dzielą! Zapominają
o wszystkim dookoła, wpadając w wieczny cykl, w koło!

Wypowiadają wojnę Czasowi.

Pamiętam, że poszedłem się upić, odurzony odkryciem, i postanowiłem:
muszę mieć Raka. Ale jak, skoro ma go tylko Miistrz? Rynny wyrzygiwa-
ły całe niagary wody. Szumiało tak jak na morzu. I te wszechobecne roje
kropli na chodnikach. Chyba byłem lekko wstawiony. Wydawało mi się, że
dowodzę jakimś żaglowcem. Pamiętam, jak schylałem się, żeby maszty nie
uderzyły w framugę drzwi.

A potem zdziwiłem się, gdy zarzucając kotwicę, zobaczyłem rozbryzgi
krwi na podłodze.

Pisk starca trwał i trwał jak dzwonek na przerwę. Wtedy myślałem, że
woła, że łąd przed nami. Chciałem go uciszyć, bo przewierciłaby mi tym
rykiem głowę, która i tak pulsowała, jakbym miał wiertło zamiast mózgu.
Założyłem mu mój kapelusz na głowę, mój kapitański kapelusz...

I zapadła cisza.

Oknami śływały oceany. Jak pod wodą, w głębinie. Niebo opuszczało
się na nas.

Cisza w pokojach. Stanęły zegary.

Obudziłem się następnego dnia u siebie w kanciapie z bólem głowy, jakby
mi właśnie jakaś bogini wyskoczyła ze łba.

I chyba tak było, że opuściła mnie cała mądrość, bo kompletnie zgłupia-
łem, gdy przysłała policja. To puk, puk będę pamiętał do końca życia.

Jednocześnie odezwało się donośne, jakże wredne bim, bam z przed-
pokoju.

Jeszcze raz pokonał mnie Czas. W tej magicznej chwili, zawieszony w pomyłce zegarów, które same nie potrafią się cofnąć...

Pomyliłem się w zeznaniach.

Zapomniałem, że przeszliśmy na czas zimowy i źle ponakręcałem zegary... Wszystkie. Poza jednym.

Tym na ręce Miistrza.

Ten jeden zegar nie stanął... mimo śmierci człowieka.

Czas naprawdę pobiegł obojętnie dalej.

Mają mnie za wariata.

Ale pomyślcie – czy Czas się i po was kiedyś nie przejedzie...?

Bartłomiej Kuczkowski

Artyzm to szczególna jakość, która jest doświadczana przez człowieka w jego kontakcie z niektórymi dziełami sztuki, ale niekiedy też ze światem i innymi ludźmi. Szczególna dlatego, że wymaga od odbiorcy specyficznej postawy. Gdy chodzi o sztukę, jest to postawa pozbycia się uprzedzeń w kontakcie z dziełem. Trzeba umieć pozwolić sobie na doświadczanie w ten sposób, w który wstydzimy się sami przed sobą odczuwać zewnętrzny, pozornie „pozaartystyczny” świat. Jeśli zaś mowa o artyzmie drugiego człowieka, to sądzę, że odczuć można go wtedy, gdy odnajdziemy w sobie: 1) uważność, 2) nastawienie poznawcze na szczegół, 3) czułość. Myślę tu zwłaszcza o czułości dla niedostatków, osobliwości, słabości, śmieszności w innym. Wierzę więc w artyzm jednego nawet gestu, spojrzenia, zachowania, melodii mowy, wyboru słów...

Pasikonik

Z całej rodziny kochał tylko swoją bratanicę.

Kochał jej oczy, inne niż u siostry. Siostra miała oczy nieokreślone. Podobnie rysy twarzy, uśposobienie i zamiłowania. Najlepiej wyglądała na kominku, oprawiona w imitację drewna. To ograniczało jej nieokreśloność.

Siostra była wtedy kominkowo określona. Jako sąsiadka zabytkowego dworku dziadka, koneserka wędzonych serów, obserwatorka rozwichrzonej końskiej grzywy. Wielkopolanka. Z okolic płaskich pól. I rumianych policzków.

Co innego Aleksandra. Oleńka. Ola.

Najbardziej pamiętał niezwykłą ufność. Ufność w obliczu tych okropieństw. Ledwie widocznej ścieżynki, żółtych kikutów czegoś, co było dawniej dorodną trawą. Drapiących nogi chwastów. Podejrzanej barwy nieba nad podejrzanej barwy miastem. Jesienne popołudnie, gdy nawet przyroda dochodzi do wniosku, że...

– Co mówisz, wujku? – łagodny głos.

– Zdawało ci się. Tędy. – Wskazał zardzewiałą bramę cmentarza.

A dalej był posępny placyk. Prawie pusty. Tylko jeden kramik, bez ciastek, lizaków, obwarzanków. Cały w zniczach i kwiatach. I sprzedawczyni z dziurawym, biało-czerwonym szalem. Szal miał minę zbolałą. Ola miała minę jeszcze na to nieczułą.

A potem minęli kontener na rogu. W nim potłuczone lampki, zgniecione plastikowe butelki i zwiędłe resztki roślin. Gdy dotarli do studni przy marmurowym ogrodzeniu, pochylił się nad zardzewiałym kranem. Ola

trzymała uszykowaną butelkę. Z kranu nie leciała woda. Butelka pozostała złośliwie pusta.

- Tatuś zawsze kręci w drugą stronę, wujku – rezolutny ton.
- Tatuś...

Zdania nie dokończył, bo metalowa maszyna oblała wodą wszystko wokół. Napełnioną butelkę przełożył do lewej dłoni, by prawą prowadzić Aleksandrę we właściwe miejsce. Miejsce ciszy, jeśli nie liczyć patyków pękających pod nogami. Ścieżka zdawała się tu już zupełnie zarośnięta.

- Tutaj.

Wskazał grób. Usiadł na ławce. Próbował złapać oddech. Gdy Ola trzymała nakrętki, wziął się do zapalania knotów. Gdy sprawa była zakończona, a znicze rozstawione, pozostało przemilczeć. Unikać myśli o niewyszorowanym nagrobku. Łatwiej jest unikać myśli, gdy udaje się zamyślonemu.

- Nie zdążyłaś go poznać...

Dziadkowy Luboń był stary. Takie też wydawało się przeżywane tam życie, na wzór czytanych książek. Jego dziadek był za to młody, gościnny, ulubiony w rodzinie. Przynajmniej dopóki nie następowały rodzinne zjazdy i konieczność dyskusji przy stole. Co prawda zastawionym nalewkami, ale nadal zakurzonym, wspólnym stole.

- Kochani – to uroczysty dziadek podczas obiadu – jak będziecie głodni, to wiecie, że trzeba pogadać z szafą.

Uroczysty na pamięć. Szafa była w Luboniu przedmiotem magicznym. Tworzyła, wraz z przestrzenią koło kredensów, strefę spotkań międzyskusyjnych.

A potem grali w kości na werandzie. Po zbyt późnych rozmowach z szafą. Pamiętał tylko chęć rewanzu. Kiedyś wyrzucił kości z kubka, z zamachem większym niż zwykle. Wirujące czarne plamki po chwili zmieniły się w dwa oczka. Sprytnym ruchem przeobraził je w sześć.

- Szóstka! Czyli drugi rzut! – triumfalny głos wnuka.
- Nie oszukuj.

– Jest sześć!
– Spójrz dziadkowi w oczy i powiedz, że nie oszukujesz.
Spojrzał. Powiedział.
– Dobrze, więc szóstka... a drugi rzut?
Okazało się, że były to jednak dwa oczka.
Wtedy na stole znalazł się pasikonik. Nic dziwnego. Podobnych żyło mnóstwo w okolicy.

– Niemcy... Niemcy tu idą. Idą. Cały szwadron Niemców. Słyszę, jak czają się na korytarzu. Chyba będą znowu strzelać.

Chwytał dziadka za rękę. Ucałował śpoczone czoło.

– Wydaje ci się. Jesteś bezpieczny. Nie ma nikogo.

Ale nie można być bezpiecznym w ciasnym, wąskim wnętrzu ledwie mieszczącym łóżko. Zwłaszcza jeśli upadło się i złamało rękę w sześciu miejscach. Nigdy nie będzie sprawna. Nigdy nie wymieni trupiej żarówki na inną. Nie sięgnie sama po wczorajsze jabłka, przedwczorajszą gazetę. Nie zbliży do oczu ulotki z pudełka po leku.

Ale pozwoli w nocy podnieść się ze zmiętej pościeli. Chwyć szarą laskę. Opaść na klęczki i czegoś szukać na podłodze. Opukiwać jej każdy centymetr.

– A, jesteś. Teraz już nic... nic nam nie grozi, wiesz? Ja się tu zacząłem, rozprawię się zaraz z nimi, z tymi Niemcami, widziałem ich kryjówkę pod nami. Mam tu gdzieś schowaną starą strzelbę.

– Dziadku... dobrze, zaraz przyniosę, tylko proszę, połóż się spokojnie.

Było to ledwie trzydziestokilogramowe powstanie dziadka z kolan.

Strzelba była malutka. Zakończona cienką igłą. Przygotował ampułkę z morfiną i herbatę. Wrócił do pokoju.

– Pułkownik, wyciągnąć dłoń! Sprawdzimy, czy strzelba naładowana.

Ale nie wyciągnął tej dłoni nigdy więcej. Po czterdziestu minutach leżał już na noszach, przykryty czarnym workiem. Nie znał się w tej chwili na nalewkach, ale nadal był tak samo uczciwy. Uczciwy na pamięć, choć z gumowym, sztywnym grymasem w miejscu uśmiechu. I zimną dłonią pełną wyrzutu. Że się kiedyś było nie dość śmiałym, nie dość dobrym.

A potem wyrzutu też i o tę zmarnowaną jedną szansę, której pozwoliło się odejść. Zobaczył nagle wtedy kadry z szafą, a potem kadry z balkonem i z nią. Na moment otworzył oczy i go dostrzegł. Mały i zielony na czarnym dziadku. Podskakiwał nieodpowiednio. Drgał nieśtosownie.

– Pamiętasz? „Oto firanka u okna się śłania...”

Już nie był na werandzie, ale na ciasnym balkonie. Z przybrudzonymi, beżowymi kaflami. I najpiękniejszym widokiem w całym jego świecie. Widział zabłocone, czarne buty. Poplamione dzinsy. Nieco wyżej śpraną, dziurawą koszulkę z niewyraźnym rysunkiem psa. Papierosa w smutnych ustach. Jej zamysłone, nieobecne oczy. I długie, rude, nieumyte włosy. Właśnie taka najbardziej go zachwycała.

I jeszcze ten gest wycierania rąk w śpodnie po paleniu. Dziadek robił tak samo. Ale on nigdy nie strząsnął z siebie chudego, żółto-zielonego owada. Smętnie poruszającego skrzydłami, które chyba się uszkodziły.

A potem był przymrozek na dworcu. Przymrozek z prasą na drogę, z mdłymi kanapkami i charczącym megafonem. Długi, szary peron. Szczęk zębów kierownika odprawiającego skład. Gdy lokomotywa szarpnęła, kolejarz zaraz ukrył się w pierwszym wagonie, jakby drżał ze strachu, nie z zimna.

A on wtedy już siedział skulony. Co za świat, myślał. Żeby znowu się gdzieś tłuc, szarpać w tym smrodzie. I po co? Trzeba było działać wcześniej. Jakoś to przerwać, zmienić, usprawiedliwić. Teraz już tylko ostatnia podróż w tamtą stronę.

Wczoraj otrzymał telefon. A miał przecież jechać obejrzeć tylko jej dom, jej książki, jej filiżanki. Ale plany można łatwo zmienić. Przerwać jednym wylewem krwi.

– ... a jak ją chowali, po prostu beton, rozumiesz? Nie że w samej ziemi. Zwyczajnie w goły cement ta trumna, tak jak była, zamurować i do-

piero zakopać. Byłem w tym jej małym domu, wszedłem do głównej izby. Wszyscy tam wchodzili. Pożegnać się. Chociaż prawie nikogo z nich nie znałem, ani oni mnie nie znali, to czułem, jak zabierają mi do niej prawo. A ona wydawała się... jakby miała zaraz się podnieść, naskoczyć na mnie, że nie przyjechałem wcześniej. Klęknąłem przed nią, pamiętam, i mówiłem, że tym razem przesadziła. Że co jej przyszło do głowy, że nie powiedziała mi od razu o tym nagłym wylewie, zanim się zdarzył. Hodowała te swoje tulipany, te swoje dalie, lilie, nigdy nie znałem się na kwiatach. I szliśmy za tym karawanem przemarznątą drogą. Chciałem iść gdzieś z tyłu, ale potem pomyślałem, że przy tych wszystkich, co tam przyszli, to ja jestem jak rodzina. Szedłem za nią, słuchałem księdza przez ten zepsuty, przerywający głośnik. Dowiedzieli ją na ten cmentarz, a tam już ten beton uszykowany. No, jeszcze długie przemówienia, jakby chcieli udowodnić sami sobie, że to nie byle kto był. A nie poznali się na niej. Tylko ja, tylko ja... I jeszcze ta baba przed bramą cmentarza, ona mnie pyta, czy chcę kwiaty w celafonie. W celafonie!...

Przerwał monolog. Chwiejąc się, wstał od stołu. Okrążył go powoli. Pochylił się nad świecą, do której przemawiał. Po chwili ją zgasił.

Rumiana buzia Oleńki. Zmęczone oczy, wpatrzone w trzy czerwone znicze. Nadchodził chłodny wieczór z dala, skądś tam, skąd nie można już zawrócić. Z grobu biło dziwne ciepło. A może od wtulonej w niego dziewczynki? Rozgrzał zmarznięte dłonie, żeby poprawić jej szalik. Zaczął zawiązywać niebieską bawełnę. Wtedy zobaczył coś dziwnego. Na jej prawym ramieniu, zupełnie śpore, zielonkawe. To nie siedziało bezgłośnie. Wydawało mu się, że owad wydaje z siebie jakieś dziwne tykanie.

– Patrz, wujku, pasikonik!

Chciała chyba coś jeszcze powiedzieć. Ale on już nie słuchał. Strącił stworzenie na ziemię, przydeptał je. Ujął bratanicę pod pachami, podniósł, ostrożnie ułożył na wyciągniętych przed siebie rękach. Zacerpnął powietrza gwałtownie, jakby chciał zrobić to na zapas. Puścił się biegiem. Czuł zimno na policzkach, zapadał się w grząską ścieżkę. Lekko poruszył lewą ręką, by głowa Oli leżała wygodniej. Biegł ku wyjściu.

Byłe szybciej.

Maja *Wolińska*

Mój artyzm?

To tylko wysublimowana forma patologicznego zbieractwa,
codziennosc śmieciowej bogini. Schylam się łakomie po wszelkie
słowne odpadki, namiętnie kolekcjonuję obierki cudzych myśli,
przygarniam nadgniłe wspomnienia i przejrzałe niedopowiedzenia.
Swoje znaleziska umieszczam w mózdzierzcu, tłukę na barwną papkę,
by następnie uformować z niej własne, koślawe ludki, które do woli
układam sobie w nowe światy.

Kropka

Dni letnie, osobliwie wydłużone upałem, zdawały się tracić kolejność; zlepiały się popołudnia i wieczory, tworząc miodne plastry gnuśności. Nieraz mdłe wczoraj i dziś sklepiało się w jeden dzień tak gęsty, tak mętny. Częste drzemki sprzyjały niepewności co do bieżącej daty, utrzymując umysł w stanie ciągłego półsnu. Marzenia senne zwijały się w miękkie kłębki, osiadały na dnie myśli, aby nęcić go na jawie wspomnieniem bladych pieszczot nocnych. Ostatnio śnił wiele o kobiecie, która miała piękne, mokre nogi przyszyte do lalczynego korpusu ze zgrzebnego płótna. Miała porcelanową twarz, wypukłą i nieprzystępnie skupioną, jakby trwała w nabożnej zadumie. Wchodził w nią prędko, bezlitośnie, racząc się tym statycznym licem. Sen niezmiennie kończył się wraz z chwilą, gdy dotykał jej zamkniętych ust, łudząc się, że znajdzie w nich schronienie dla wysuszonego żądzą języka.

Odrącony przez kukłę, budził się w podłym nastroju, spony i zły wstawał do życia, które wcale go nie oczekiwało. Podłoga nauczyła się już bowiem skrzypieć bez udziału jego stóp, sama wystukiwała nocą znane kroki, zdradzając słuch absolutny i pierwszorzędną pamięć. Zwolnione ze służby ciała ubrania nadymały się, wisząc w szafie dumne, rade swojej swobody. Z nóżek kieliszków wyewoluowały smukłe gardła, nawet ociężałe kufle umiały wchłaniać pozostawione na dnie krople trunku, dlatego w kuchni wciąż słychać było dzwonienie śpitych naczyń.

Czuł dobitnie swoją bezużyteczność, gdy rano wychodził z łóżka i okrążał ożywione mieszkanie, w którym nie odgrywał już roli władcy czy wodza. Próby odzyskania rangi były skazane na niepowodzenie. W końcu przestał je podejmować i, pozostawiając wszystkim meblom, sprzętom oraz bibelotom resztki swoich sił witalnych w śpadku, zdecydował stać się przedmiotem martwym. Wiele zawsze mówiono mu o ich złośliwości. Radowało go więc, że jako jeden z nich będzie mógł wylać z siebie cały skumulowany

podczas życia jad, który nie mieścił się już w pojemnym ciele i ciekł mu uszami strumyczkiem czystej żółci, co niektóre damy opacznie traktowały jako dowód braku higieny.

Przysiadł na środku pokoju, podkulając nogi – nieco wstydliwie, jakby obawiał się, że swoją obecnością znieścaczy deski, te znowu odgrywały jego Poranny Przemarsz nr 4, dźwięk po dźwięku, idealnie naśladowując znaną mu niezgrabność. Nagle sfostrzegł, że gładzi lubieżnie podłogę, wcieraając weń kropelki swojego potu. Dłonie wilgotniały, gdy przesuwiał palcami wzdłuż szczelin. To przyjemność napotykać je pod opuszkami. Rozpłaszczyl się możliwie jak najstaranniej. Zastygał galaretowato, tkanka po tkance, dygocząc i wydzielając typowo człowieczy odór, skutek usilnych prób powstrzymania drżenia.

Kiedy cały sężał, jego nieposłuszne zęby zaczęły wzywać na jakieś, sobie tylko znane, tajemne nabożeństwo. Wzburzony, hamując dzwonników, przypadkowo ochrzcił śliną jedną z desek. Wpierw go to zawstydziło, ale po wybieleniu rumieńca ośmielił się wysunąć z jamy swojego nieumiejętnego płaza, którym nocą wzgardziła kukła.

Płaz sęczał na podłodze, posmakował futra kurzu, kilkakrotnie wlepił się w szare kocięta, by w końcu zalać się kwaśną glazurą, kiedy obrzydzenie ostatecznie zerwało tamy ślinianek. Powrócił na swoje miejsce z niejasnym poczuciem, że usta kukły-zmory, pustej pindy, mogły być równie szare i miauczące. Ale on – prosty płaz – nie mógł wtedy zwrócić na to uwagi, więc ta uwaga sama zwróciła się do niego, oczywiście, poniewczasie. Nie było to nic szczególnego, płaz nieraz po wylizaniu lśniącej puszkki z groszkiem, konstatował, że przecież delektował się paprykarzem.

To on, recydywiŃta w parzeniu płaza herbatą, zrobił go tak nieczułym, niemal bezużytecznym lokatorem. Teraz należało to ukrócić. Pan poprosił płaza o ostatnią przysługę.

– Odetnij język, co ci zbywa – powiedział swym płazem i oto dokonało się. Odcięty płaz potoczył się pod szafę, gdzie mógł czekać na pośmiertne katusze – odznaczenie w postaci wiecznie płonącego ogona salamandry.

Tak płaz przekroczył bramy piekieł, a jedno ja władcy powoli zaczęło przekształcać się w szczeciniaste ja dywanu – osiągnęło odpowiedni stan, do-
tąd mu nieznanego, wełnianego skupienia, wysupłało z wnętrza zapomniane włosie przodków, zarosło i po chwili przykładnie zdywaniało. Drugie ja wodza wzniosło się ponad ów dywan i jęło histerycznie trzepotać, ulatując

w stronę żyrandola, bo rozbudziła się w nim nieodparta chęć zakosztowania światła – ja było jeszcze na tyle ludzkie, a przez to na tyle niemądre, aby nie zauważyć, że jest ćmą i niebawem się zatraci, uduszone swądem własnych skrzydełek, ofiarnie rozpalonych przez złote żarówki. Zwęglony kikut ja, w postaci oślepionej ćmy, opadł na łan dywanu. Człowiek przeistoczony, rozrzedzony, ograniczony do dwóch form, scalał się w jedno. Był płótnem z czarną kropką. Był idealnie martwym przedmiotem, prawdziwie domorosłym dziełem sztuki.

Dwa dni dzieło leżało bezpiecznie otulone przez kwilący dom, stypę urządziły mu szkła i srebra, dopiero trzeciego dnia trzech rośłych granatowych panów zgwałciło niewinne drzwi mieszkania. Długo dreptali po dywanie zniecierpliwieni, wymieniając się krótkimi słowami. Jednemu weszła w podszwę kropka ćmy. Wieczorem pani Jednego wyczyściła buty męża, zgarniając zwłoki kropki kraciałą szmatką.

W sobotę uprano szmatkę wraz z pościelą i pończochami, a Bóg, mszcząc się za umieszczenie swojej umiłowanej kropki w niewłaściwym czyścucu, weśchnął i zwiął ze sznurka pranie.

Łukasz Kaźmierczak

Łucja Kuttig

Definiowanie przeze mnie arcyzmu na tym etapie mojej ścieżki twórczej wydaje mi się butą, moje pierwsze skojarzenie dotyczy jednak pracy: polegającej na skonstruowaniu treści na podstawie książek, sztuki, nauki, wszelkich inspiracji; a także na szlifowaniu formy.

Forma konstryuuje bowiem rodzaj komunikacji z publiką: odbiorczyniami/odbiorcami, krytyczkami/krytykami, docenienie zaś z ich strony może odróżnić arcyzm od grafomanii, dyletanctwa, wtórności.

W ten sposób arcyzm oznacza w mojej opinii konglomerat talentu, samodoskonalenia i ciągłego dialogu; w tym zestawieniu decydującą rolę wydaje się odgrywać otwartość na metaforę, niedookreślenie, niedopowiedzenie, pozostawienie przestrzeni na liczne reinterpretacje oraz na obcą recepcję.

Pistacje

Przekroczenie granicy udaremnia mi niemiecka kolej losu. Babka ostrzegła: „Dzieci! Nie wyjeżdżajta za zachodnią granicę, bo wycinają rogówki, żeby powszczepiać swoim, okaleczając jak tegoroczny orkan drzewa”. Nikt mnie nie odbiera z dworca, szosa biegnie natomiast do góry. Do tego zacina mżawka, ale już przy ulicy Kopernika zmieniam układ słoneczny. Odwracam twarz w stronę słońca, chociaż w moim horoskopie dominuje czarny księżyc. Rozpaczynam ruch obiegowy, obrotowy kontynuując na huśtawce. Wahadło wychyla się w stronę dzwonka, po czym drzwi otwiera mi on. Używam najbardziej wyszukanych znanych mi wyrazów, lecz ledwo bijące serce nie ułatwia mi nauki. Na początek oglądamy sceny z serialu *Czerwone Róże*, które on pomaga kręcić tak, jak ja kręcę, płacząc spółniki oraz szyki w zdaniach. Zasypiam, a trzeźwe słowa odnajduję po zakupach dopiero dwa tygodnie później. Usiłuję sobie przypomnieć najprostsze czynności. Zaczynam zrywać przesłuchania.

zrywanie Układam banany na talerzu w wargi, do środka wstawiam klementynki, a na wierzch kaki z kwieciłą szypułką. Czekam cały weekend na wyjedzenie owoców. Z niecierpliwości napoczynam prawy srom, waginiczne chińskie jabłko, w poniedziałek nadchodzi zaś czas gotowania. Przygotowuję kaszę, soczewicę, najlepsze dla niego przyprawy i proponuję deser do jęgo klusek. Obieram kaki, podaję je jak Ewa, a moje serce bije z obcym akcentem, usta błędzą w wątkach, żeby nie zdradzać. Nie zdradzają oczu, które opuszczam, ponieważ po co kochać zbyt łapczywie, czy też co może mnie bardziej cieszyć niż karmienie go. Zjada owoc z moich dłoni, następnie jedzie na dziwki i już nie dmucha na saksofonie schowanym w pokrowcu.

Służba szybko traci sens. W jęgo języku brakuje aspektu dokonanego wysługiwania, dlatego nie mógł mnie nawet dobrze zrozumieć. Moje słownictwo

niebawem natrafia na czarne plamy, nabierając cech podwójnego znoszenia jak kanapa w pokoju dziennym.

wysłużenie We wtorek należy zgodnie z etymologią jego języka odbywać służbę. Zastaję go przy malowaniu i w brązowych oczach zastrygam, jednak nie chcę, żeby zmywał od razu swój pot z drabiny ani z mebli. Schodzimy do piwnicy zobaczyć jego złote rybki i gupiki. Tłumaczy mi różnicę między samicą a samcem, wskazując palcem na pręciki oraz na nowo narodzony barwny narybek, niekiedy zjadany przez drapieżny ruch w akwarium. Ma przy tym aksamitny głos, który zakładam na siebie i nie chcę wychodzić z półmroku ze starymi książkami na regale po dziadku. Dzisiaj odgrywam rolę lwicy karmicielki, a uśmiech na jego niedogolonej twarzy rozpuszcza moje włosy. Nagle przestały wypadać, lecz huśtawka za chwilę wraca na drugi biegun. Zrzuca mnie wtenczas, ląduję na ściółce w obcym kraju albo w pustych ścianach, które przed moim przyjazdem pomalował na białą, aż dostał zapalenia krtani od zapachu farby. Codziennie charczy, boję się nawet zapukać. Mówi, że mu smakowało.

Aby z powrotem wypowiadać zdania, potrzebuję więcej tlenu. Najłatwiej osiągam to, jeżdżąc na rowerze. On nie wierzy, jak można nie wpaść na pomysł z odchyleniem dynama, bo po co ryzykować mandat, kiedy policja jedynie czyha na tego typu występki, a przeprosiny jeszcze bardziej ją rozczłają. Po kolei, zaczynamy od podstaw.

wdychanie W piątek kończy na uprzejmościach, na poważnie zabiera się do wyjścia. Lokal nosi nazwę Wrzesień i słusznie przywołuje na myśl smród papierosów, podobny do powietrza z większości polskich osiedli. Tym razem jednak mnie nie zaprasza, rano dostał kartkę ze Szkocji od Lucy, załączającej trzy ikсы. Koślawa angielszczyzna i tęsknota w jej słowach przynoszą mi tylko akceptację, ponieważ łyż już uszły jakąś godzinę temu. Moje czekanie nie może zakładać rąk, wychodzę więc na spacer, zapomniawszy kluczy. O piątej nad ranem, po jego przyjeździe i legnięciu do tym razem bezalkoholowego snu, dzwonię siedem minut. Aż wstaje, pyta gdzie, ale ucinam to, idę na wprost, zdejmuję w ciemności jego białą koszulkę. Biorę prysznic, zmywam z siebie brak dotyku gorącą wodą, zastępuję sobie czułość balsamem do ciała. Następnego dnia przytomnieję we mgle i przed nim. Przychodzi jego przyszła współlokatorka i pyta, czy jesteśmy razem. Ma

twarz brzydszą ode mnie, mimo tego to jej najpierw pokazuje rybki, tak jak ja przed nim przecząco odpowiadam na pytanie. Certyfikaty ze szkoleń o kłamaniu mam podstemplowane genami. Po wszystkim jego uśmiech kładzie się odespać, a ja – odetchnąć, by nie zdradzić, że brakuje mi tchu.

Po głębokim wdechu wychodzę na scenę przed ludźmi. Na nowe twarze otwieram się przez szklaną kulę. Promieniuje od niej światło, zapoznani zaś gratulują mi zstępowania. Szczerze mówiąc, mam dosyć stąpania, dlatego jak szybko nastąpiło podpisanie umowy najmu, tak rychło.

wystąpienie W sobotę nie wraca z piątkowego wieczoru, mimo to wyjeżdżam do Lubeki, a Brazylijki jeszcze kwitują mój grymas przypuszczeniem, że najpewniej spędzał czas z dziewczyną, a może mam ponadto słać uśmiechy do tych mijanych liści oraz uciec do toalety pociągu, udając jazdę na gapę od bezcelowego pomieszkiwania. Wieczorem milczę, żeby w niedzielę pierwszy raz użyć owoców. Obieram skórę, choć peelingi należy wykonywać najwyżej dwa razy w tygodniu, kroję żyłaśte, ciekłe przewody na krew, dosypuję müsli, po czym zalewam się lub prędeż sobie śniadanie waniliowym mlekiem sojowym. Włazę na wieżę ciśnień i powoli zostawiam tam swoje punkty z kalendarza na ten rok. Schodzę po zbiorniku na liczne wydzieliny mojego ciała, rowerem zajeżdżam drogę pająkom w furtce. Zrywam zatem pajęczyny, a po powrocie nie muszę dłużej udawać radości, tylko pytam, czy zjadł sałatkę owocową. Czuję go bezpiecznie.

Niedobór zagrożeń, względnie niedosyt wyzwania, roztapia mnie jak lody w południowym słońcu. Barwy zlewają się w jedną masę, którą ścieram sobą z blatu kuchni, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, kiedy nastąpiło *rozmywanie* W poniedziałki okupację rozpoczynam od kanapy. Ażeby nie przerażać obłąkanym śmiechem, włączam piracki paradokument, czym zresztą zachęcam go do otwarcia wina. Tego oczekuję po jego oczach, żeby móc w nie patrzeć jak w orzechowe kwasy omega sześć, zaostrzające jedynie stany zapalne. W spokoju słucham każdego jego uśmiechu oraz z pozorowaniem wybucham oburzeniem na przekleństwo. Z przyjemnością żartuję, jakim to jest nikczemnym kłamcą, a na koniec, w środę proponuję eksperyment. Nosił w sobie nadzieję na kogoś z wiedzą biochemiczną, zastał zaś po prostu czarownicę. Rozcieram na jego nadgarstku płyn Lugola, na swoim pociętym przed

laty również. Każę wypatrywać, kiedy zniknie napięcie między nami, ponieważ to powie, ile brakuje mi jeszcze mikroelementów do jakiegokolwiek zaangażowania. Gładzę łoki i życząc dobrej nocy, zatykam uszy. Gdzieś w przeciągu dni pośrodku tygodnia miksuję dla niego wszystkie swoje owoce, rysuję kota i zmywam kieliszki po winie, a także talerze z jego nożem.

Po przetarciu sobą do sucha całej kuchni nie nadają się już na powtórne wyprania. Wystają ze mnie nitki, wyciekają pierwsze czarne plamy nie tylko w zdaniach, a głową zamiatam podłogę w jego zagraconym pokoju, wężąc plan jego dnia i pory omijania mnie. Określenie „obłąd” brzmi, jakby kogoś zdumiewało popełnienie błędu.

wypruwanie Różowy wschód słońca zapowiada zawsze krew, zwłaszcza po księżycu w pełni. Pośtanawiam zatem szyć całun, choć moje oczekiwania od początku sprawiają wrażenie daremnych, a jedyni zalotnicy wyjechali już dawno na Itakę. Tkaninę płaczę, myślę ściegi, każdej nocy pruję, mimo to Mojry zachowują spokój i cierpliwie odwijają następne włóczki. Penelopa z buzią pełną asfodeli popada w konsternację, jak można tak bluźnić, pogrywając sobie ze śmiercią. Pod wieczór gotuję kaszę owsianą, przy czym przeraża mnie pleśń na moich dłoniach i w słoiku z olejem kokosowym. Czyszczę, zamrażam, nie daję po sobie poznać, że truję sobie żyły. On niczego nie zauważa, pyta tylko o rękole. Boginie wiedzą, że próbuję.

Skoro zawodzą mnie już słowa, sięgam po liczebniki. To, co najlepiej wychodzi w sztuce konceptualnej oraz w więzieniu, to

odliczanie Czytam, że należy powiedzieć stop i nie zmieniać biegu skłębionych w oczach organicznych soli sodowych. W poniedziałek zegnamy Camilę, głęboko masuję mu łopatkę, za co przygrywa nam na gitarze i jeszcze chce się rewanżować, ale wyłącznie mnie. Gotuję najprzepyszniej, jak potrafię, dlatego nosi mną, gdy nie odpowiada na pukanie. W jego zaroście i uśmiechu witamy wtorek w tym samym pubie co zawsze, a po dwóch drinkach już druga osoba pyta nas o bycie parą. Tym razem nie zaprzeczamy, a w południe w dzień reformacji podaję mu na kaca kwaśny mus z owoców z waniliową nutą. Odczuwa wstyd, spoglądając mi w oczy po wszystkim, toteż zaprasza na środę Julię, jednak jego imię nawet nie zaczyna się na R. Smak przyrządzonego przez niego makaronu nie przeszkadza mi tak, jak

jego egoizm w stwierdzeniu, że jedynie kobiety miewają słaby seks, bo źle nastawiają zegarki.

Zmieniam pozycję z jednego boku na drugi, pół zamykając, pół otwierając oczy, nie mogąc podjąć decyzji o wystawieniu lewej nogi z łóżka, gdyż w pokoju panuje dojmujący chłód. Chcę następnego dnia albo jakiejś innej kołdry, stąd też przystaję na

wywracanie W miodową pełnię, kiedy księżyc staje pośród chmur naprawdę duży, rewanżuje mi się, mimo że należało przewidywać, że chodzi mu tylko o zemstę. Julia uwielbia niańczyć dzieci, razem nie odrywają wzroku od bajek ze swojego dzieciństwa, a moje samotne poranki oglądają wyłącznie koty z okien z naprzeciwka. W Hamburgu nie chodzę tym razem słuchać organów, lecz włączę na każdą wieżę, żeby ocenić szanse z niej spadku. Święta Petri chybotze pod wpływem nie moich wiatrów, deszcz zacina w obiektyw aparatu. Lubię to zamglenie w spojówkach i już w sumie jaśnieję radością na połowę naszego wspólnego pobytu. Wydechy należy wykonywać długo, by mieć siłę wstawać wcześniej do widoku różowego, apokaliptycznego księżyca. Chce zabrać mój talerz, ale mu zabraniam. Na następny tydzień pakuję się od niego zawczasu i jedynie czekam, kiedy napisze, bo przynajmniej na początku codziennie zaglądał do mojego pokoju. Nie zaprzeczył, że mu mnie brakuje, dlatego znów pojechał do kumpli albo prędeż do Julii słuchać z nią dziecięcych piosenek o ogonach, ale cóż z tego może wyniknąć, skoro ona unika nawet podania mi ręki na dobranoc. Straszę ją, że umiem czytać w myślach. Niestety, ostatecznie tylko mnie nawiedzają nocą koszmary. Nie wracam, on także nie.

Upadek na rowerze dostarcza wyłącznie dowodów, mimo że usiłuję wyjść jak najwcześniej. Po raz wtóry myślę formy dokonane, mieszając przedrośtki, gdyż kluczę w miejscu, zamiast obierać kierunek lub związek podczas zbierania się w garść.

wpakowanie Pakuję się od niego w chorobę. Przed tym mikszuję pomarańczę, gruszkę i banany, życząc pięknego tygodnia, choć bez pożegnania. Od wieczoru z Julią nie widzę go, unikając go we śnie w swoim pokoju. Składam jego ubrania po praniu, a przed wyjściem czyszczę jeszcze całą kuchnię. Robię wyjątek dla jego tuńczyka z kontrolowanej biologicznie uprawy, jednak szybko uświadamiam sobie, że dla chłopców nie warto szukać wymówek, ani jeść im z ręki. Zaczynam rozu-

mieć, że wymijanie się to pewien fragment trasy w młodości, a może po prostu znalazł pracę na nocną zmianę w Hamburgu. Zbieram nasiona wrzosa do papierowej torebki. Ciasno ją zawijam, zgniatając pająki oraz usiłując ostatnim ciepłem w dłoniach pochłonać energię z zachodzącego słońca. Od ziemi bije przymrozkiem. Na biurku zostawiam mu włączony długopis.

Po zwinieniu siebie w walizce nie potrafię pojąć, jacy jego przyjaciele mogą napotykać jakiegokolwiek kłopoty, o co chodzi z jego frustracją wynikłą z bezczynności, dlaczego przestaje spać nocą i co zmienia w jego życiu to, że nie dostał fuchy w Hamburgu, a przy *Czerwonych Różach* czeka go zatrudnienie w grudniu najwyżej na dwa tygodnie. Nie rozumiem, dlaczego obchodzi go cokolwiek innego poza mną i jaka tkwi przyczyna w tym, że nadal nie umiem zdobyć się po prostu na

wymijanie W sobotę wspomina mi, że nadal nie znalazł pracy, tylko po prostu odwiedził znajomych. Podsuwam mu słowa o tęsknocie i że nie mógłby sobie wymarzyć lepszej osoby do najmu, na które ochoczo przytakuje, a czasem mam wrażenie, że rozmawiam z psem. Owczarki niemieckie nie lubią bowiem zbyt długo utrzymywać kontaktu wzrokowego, ponieważ czują wyzwanie do walki. Po zbieraniu nasion *Calluny* Laura pyta mnie, po co jem tyle czosnku. Próbuję nabyć odporność na działanie wampirów energetycznych, ale brakuje mi odwagi, żeby zabić serce kołkiem. Dlatego nadstawiam dłonie do śpijania krwi przez ostre od deszczu wrzosa, a także wystawiam najlepsze owoce, w zamian słysząc jedynie uśmiech i „dziękuję”. Laura wymawia mi, że przecież również wyłącznie mija się ze współlokatorkami, gotowanie zaś nic dla nich nie znaczy. Tak inaczej, niż jakby to wynikało z niektórych durnych polskich powiedzeń.

Tego dnia opróżnił całą miskę kaszy z soczewicą i warzywami, do tego poranny słodki mus z bakaliami oraz miechunkami na wierzchu. Jego twarz wygładza się, moja traci blask, zyskuje wypryski, u niego wszystko jak po maśle, mnie zaś korci do wydłubania sobie maślanych oczu, stąd zamykam je i rozpoczynam

zaduszanie Wrzucam wszystkie śploty do ognia, łącznie z tymi czerwonymi popłatany mi gdzieś w historii, jako że *Faust* to jedyne dzieło Goethego, jakie zna. Tego dnia zastaję go z odpakowanymi piśtacjami, które wyjadam mu z torebki, natrafiając na jego dłoń. Zielony proszek

z nich nasuwa mi skojarzenie z posypką na tureckich deserach, z towarem, na który dostaję zaproszenie do Amsterdamu, lub z niekompletnością suchego piasku. Żeby mnie nie zobaczyć, śpi cały dzień, ucieka pod prysznic i wychodzi bądź wyjeżdża. Zostawia w pokoju dziennym kurtkę ze swoim zapachem, mimo to nie wiem, czy czekać na niego z ostrym obiadem, ani kiedy wstawiać mózg na pranie. Rozterki usiłuję zaleczyć buzującą aspiryną, jako że kaszlę, nie mogąc złapać głębokiego wdechu. Choć tak naprawdę do pary potrzeba mi wydechu, to podczas uderzeń kaśtetem oddech staje się szybki i niemiarowy, szczególnie wtedy trudno nabrać powietrza. Tego dnia medytacja przechodzi w zaduszki.

Krótko po moim wyjściu, koło dziesiątej, dzwonią do drzwi żołnierze. On byłby wstąpił do służby, gdyby jej nie zniesli i przede wszystkim jeżeliby go nie wywieźli w urnie z zielonym proszkiem. Matka zawczasu wykupiła mi bilet powrotny, a babka ostrzegała: „Nie przedstawajta z handlarzami organów”. Zapomniała dodać, co z takimi od dwóch komór bijących za mostkiem, żeby nie używać zbyt nadętych słów, kiedy coraz więcej smolistych plam zlewa się ze sobą tuż obok, a kajdanki zaczynają mnie kłuć mocno w nadgarstki z nie do końca wchłoniętym płynem Lugola. Tę wojnę można było przewidzieć, od kiedy w sobotę co rusz na ulicy pojawiali się mundurowi z Bundeswehry. Odchodzę jak Edyp – na ślepo i z nieczystym sumieniem, lecz przynajmniej we własnoręcznie uszytym całunie. Żołnierze każą mi zachować milczenie, ale też zachować coś na deszczowe dni. Wyjmuję z kieszeni piśtację, której łupiny nie sposób było rozłuc, dodając, że pomyliliście mnie z kobietą. Jak również z mężczyzną.

Elżbieta

Łapczyńska

Słowo „artyzm” do określania dobrej literatury nigdy nie było mi potrzebne. Z tego powodu z definicją będzie problem. Spróbuję jednak pogłówkować: jeśli to artyzm sprawił, że Bukowski tak pięknie bluzgał, a Camus tak wspaniale dołował, to chyba jest to coś dobrego i też chcę to mieć.

Wszystkie moje skóry

Zanim opowiem o Edwardzie Prokopowiczu, który niespodziewanie pojawił się w tych stronach i zrujnował ład, jaki od lat budowali mieszkańcy, wspomnę o pewnym osobliwym fakcie.

Liczba 16 na ziemiach brasławskich to liczba fatalna. U Pawłowiczów urodził się 16. syn. Od pierwszej nocy życia był nieznośny i matka wystawiała jego kołyskę przed dom. Ale gdy nadal budziło ją wycie syna, z rozpaczą wbijała sobie w szyję paznokcie. Po dwóch latach zaniósła go na wzgórze do kóz z kawałkiem żytniego chleba. Wiele lat później spotykano człowieka, który rozmawia z kozami.

Liczba 16 to liczba okrucieństwa. Między Ikażniem a Rymszanami włożyła się córka Rytarów, dziesięcioletni cherubin o przybrudzonych policzkach i znoszonej niebieskoszarej sukience. Kiedy mijała domy, podchodziła do zagród głaskać kozy, liczyć kurczaki, nadawać imiona krowom. U Rytarów znaleziono 16 psich ogonów.

Liczba 16 to symbol niezgody. W Smołwach rodziny żyły przez stulecia w komitywie, nie szcędząc sobie uprzejmości i pomocnej dłoni, pomocnego konia czy pomocnej flaszki samogonu. Ale pod koniec pewnej zimy, po miesiącach tułaczki, do wsi przybyli uchodźcy z zachodnich ziem, zakładając 16. domostwo. Sąsiedzi zaczęli rościć sobie prawa do nieużytków, na których tamci osiedli. Pewnej nocy w ramach rozliczenia rozkradli ich zwierzęta. Przybysze w odwecie podpalili wieś.

Liczba 16 to zapowiedź zguby. Edward Prokopowicz przybył do Gieratów, wioząc ze sobą 16 ubitych świń.

Dobrze pamiętam, jak mężczyźni upuszczali gracie, zatrzymywali konie, wyglądali zza progów, żeby z tlamszonym podziwem obserwować toczący się wóz. Kobiety wybiegały na drogę, choć trudno było powiedzieć, czy bardziej zaciekał je sam przybysz, czy tusze na wozie. Żadna z kobiet nie po-

dejrzała, jaką cenę przyjdzie im za nie zapłacić – za świnie i za znajomość z tym człowiekiem. Dumnie powoził rudą kłacz, jakby jechał przez swoje. Pod zakręconym wąsem tlił się ni to uśmiech, ni to powaga, dośwojeństwo, przed którym uchodzi się z drogi. Nikt, kto potrafił patrzeć, nie mógł opowiadać spojrzeń, a Edward zagarniał uwagę mieszkańców i chował ją niby do sakwy jak złodziej.

– Kradzione truje. – Jako pierwsza odważyła się żona kowala. Wszyscy znali jej mocarny głos, a ona potrafiła używać go tak, żeby wybrzmiał całą swoją wrogością. Edward zatrzymał wóz, jakby nic nie ważył, zeskoczył i w jednej chwili już całował jej brudną dłoń.

– Niech więc wolno mi poczęstować pani męża! – Podniósł głowę i dostrzegł w pochmurnej twarzy tłumiony uśmiech. Zanim czar Edwarda zupełnie przebił, zdążył obiegać wóz, chwycić dwa świńskie łby i rozpocząć triumfalny pochód.

– Czekam! Kto podejdzie po swoje?

Mieszkańcy zbliżali się, wychylali głowy zza swoich obaw, by w końcu poddać się ciekawości. Edward patrzył, jak rośnie wokół niego tłum, a widok ten niezwykle mu się podobał.

– Ile? – padło ze strony Gmachów. To ojciec o czerwonej twarzy, wysunął się o krok, choć ciągle zachowując odległość, jakby cena miała dopiero wpuścić go bliżej lub na zawsze zagrozić drogę. Edward piruetem podskoczył do niego, otworzył radośnie ramiona, potrząsając łbami.

– To jest pytanie! To jest niezwykle ważne pytanie! Świnia, jak pan widać, to kawał mięsa. Nic tylko mięso i tłuszcz. I jeszcze trochę skóry. – Stary Gmach aż się cofnął. Mógł dostrzec jego ostry nos, długi i wygięty w garb, ale idealnie wetknięty w tę przedziwną twarz. Pod wąsami zamigotał złoty ząb. – Tak czy nie? Mięso i skóra, byt biologiczny. A może i świnia to coś więcej? Może i duch? O duchu świni pan słyszał? A pan? Ha, ha! Ze skóry świńskiej co pan robi? Buty? Bardzo dobrze! Książkę pan oblecze! Rękawice uszyje! A z sąsiada by pan uszył? Zaśtanawia się pan jeszcze? Niechże pan odpowiada. No nie uszyłby. Bo to jest zwierzę!

– Proszę pana, nie godzi się tak żartować. Niech pan poda cenę i dobrze radzę, niech będzie ona rozsądna.

Prawie by to Edward zignorował, gdyby nie podniósł wzroku i nie dostrzegł, że ponaglił go człowiek, u którego boku stała istota nadzwyczajna. Twarz niepokojąca, nierówne oczy, połowa ust nie tam, gdzie trzeba.

Wszystko w niej było rozchwiane i falujące, jakby utrzymanie siebie w jednym kawałku było dla niej wysiłkiem. A przy tym tak czysto ubrana, tak świeżo patrząca.

Edward rzucił łeb wprost w ręce mężczyzny, zbyt zaskoczonego, by go złapać, zbyt sztywnego, by spróbować uchronić świńską głowę przed wypadnięciem w błoto. But przybysza stanął na ryju, a sam pokłonił się i przemówił:

– *Mademoiselle*, niech mi będzie wolno polecić pani tę świnie. To tylko mięso, tłuszcz i skóra.

– Co pan sobie myśli?! Kim pan do cholery jest?!

– Nie żądam za nią wiele, obiecuję.

– Co pan wygaduje?! Jak się pan nazywa i skąd ma pan te świnie?! Chcemy wiedzieć, zanim pan zrobi z nas durniów!

Wzburzenie ojca nie zmieniło w dziewczynie nic a nic, wciąż wzbierała w niej ciekawość. Im dłużej Edward się w nią wpatrywał, tym mocniej chciała, żeby odezwał się inaczej, niż życzył sobie tego jej ojciec.

– Chce pan kupić świnie – podnosi wzrok na mężczyznę – to ja ją panu sprzedaję, ale tylko przez wzgląd na tę damę. Pierwsza świnia sprzedana! – Odsuwa się, by zwrócić się do wszystkich. – Mięso – wdrapuje się na wóz – tłuszcz – ciągnie z trudem tuszę – i skóra! – Świnia spada na piach. – Moja cena jest niewygórowana. Niech mi pan nie przerywa. Moja cena jest wręcz znikoma. Ot, skóra za skórę.

Edward zrzucił płaszcz. Rozwarł poły koszuli. Ukazał się zdumionym mieszkańcom. Jego pierś, brzuch i ręce były pokryte rysunkami. Obrócił się z otwartymi ramionami, na plecach również miał mnóstwo zielonkawych postaci, figur, zwierząt i napisów. Zwrócił się do ojca dziewczyny, ale jakby do wszystkich.

– Świnia kosztuje malunek wbity pod skórę. Kto chce mieć świnie, niech odda swoją córkę albo żonę, a ja narysuję jej boginię. – Wskazał na swoją pierś z postacią kobiety.

Kiedy wóz z 15 świniami oddalał się powoli, a 16. sztuka leżała pod nogami pana Semieniowa i jego córki Anieli, wszystkie głowy były odwrócone w stronę mężczyzny na wozie i jego pleców pokrytych malunkami. Zostawił ich z zapewnieniem, że wróci jutro, aby byli gotowi, aby kobiety przygotowały swoje skóry. Zgorszenie wzbierało się z każdym obrotem koła, aż wreszcie wybuchło w rwanych okrzykach. Bałwochwalstwo, wariat, kpiarz.

Antoni Semieniow wybrał milczenie, bo był człowiekiem poważnym, co szczególnie dostrzegala jego żona, czworo dzieci i Griszka, chłopak pomagający w gospodarstwie, błakający się od domostwa do domostwa. On również nadbiegł popatrzeć na świnie. Kiedy wszyscy zapomnieli się w teatrze Edwarda, on wił się między gapiami, wychylał się zza tej, to zza innej postaci. Nawet na moment nie wzruszył się, nie wzburzył, nie roześmiał. Z uwagą jednak przyglądał się mieszkańcom. Po całej maskaradzie opuścił drogę jako ostatni. Resztę dnia spędził w polu jak cała rodzina i cała niemal wieś – wszyscy zatopili się w pracy i to pilniejszej niż każdego innego dnia, jakby praca miała przywrócić im to, co na tę krótką chwilę wymknęło im się z rąk.

Późnym wieczorem, gdy niska mgła rozeszła się nad trawami, a Aniela doglądała gęsi, wydało jej się, że słyszy szept albo świst dochodzący ze stodoły. Ze wszystkich myśli, jakie przebiegały przez jej głowę, najbardziej zachwyciła ją ta, że być może w stodole czeka nie kto inny, a ten człowiek z wyrysowaną kobietą na piersi. Choć to szalone i niemożliwe, podeszła przekonać się o tym do drewnianych drzwi.

– Pomalujesz się?
– Griszka! Czego tu chcesz?
– Musisz się pomalować.
– Bo co?
– Świnia leży tu obok. Umowa to umowa. Skóra za skórę. – Aniela zajrzała do stodoły, ale w ciemności nie mogła dojrzeć świni, a i Griszka siebie nie przypominał. – To tylko skóra. – Griszka nie ustępował. Aniela nie wiedziała, czy miał na myśli ją, czy tuszę skrytą w sianie.

Ten poranek Aniela przywitała, gnuśniejac, nie mogąc zrobić kroku, jakby nie będąc gotową na toczącą się rzeczywistość. W końcu, gdy się przemogła, by się rozebrać, długo wpatrywała się w swoje ręce i nogi, części niepasujące do siebie, przyszyte i ożywione. Zastanawiały ją drobne blizny, żyły i włosy. Ślady życia, potwierdzenie, że naprawdę istnieje.

– Aniela! – Otrzeźwił ją krzyk matki. Jeszcze raz spojrzała na nogi, zanim założyła bieliznę. Mięso, tłuszcz i skóra.

Południe zjawiło się niespodziewanie, a sygnał, że wraz z nim przybędzie nieszczęście, dała żona Tymosza, której wrzask dotarł nawet do Semieniowów. Wraz z bratem Tymosz ciągnął ją przez drogę, choć zapierała się

i wrywała, klęła i błagała o pomoc, sąsiedzi nie chcieli wiązać jej płaczu z domysłami, jakie chodziły im po głowach. Nie minęło wiele czasu, a przekonali się, jak trafne były ich podejrzenia. Oto drogą toczył się wóz, a ku niemu prowadzono kobietę.

Aniela zbiegła, gdy tylko dostrzegła tę scenę. Wraz z nią i inni sąsiedzi, a także Griszka i Antoni.

– Oto i świńskie matki! Piękna zapłacicie cenę! – Śpiew Edwarda znów miał czarować przybyłych, ale ci jakby nie chcieli słyszeć w tych słowach radości. Chowali się w sobie, żeby te słowa nie trafiły wcale do nich. Chowali się między wstydem a chytryością, ale ktoś musiał w końcu wyciągnąć rękę po swoje.

Edward zeskoczył z wozu, a w ziemię wbił cztery kije, oparł czubkami o siebie i nałożył skórzaną płachtę. Ten niski domek miał stać się miejscem moich narodzin.

Choć płacz Tymoszowej nie ucichł, zaakceptowano go jako formę waluty. Przekazana z rąk bliskich do obcych, trzęsła się, błagała. Do pomocy zgłosił się Griszka, który wdrapał się na wóz i zepchnął tamtym świnię w ramiona.

– Z żony zwierzę zrobiłeś. – Gdy kobieta zniknęła wraz z przybyszem w namiocie, Antoni zagrzmiał jak Bóg. Nikt z zebranych nie zechciał mu jednak wtórować. Semieniow na znak pogardy zrobił odwrót, swoim dzieciom nakazał to samo, i odszedł na swoje wzgórze. Aniela pobiegła za nimi, oglądając się raz po raz.

Tymczasem 14 świń czekało na swoją kolej. Wśród mieszkańców narastał nastrój handlowy. Wyznaczono porządek, warzono tusze, organizowano transport. Wtedy wyłoniła się Tymoszowa z nagą piersią, a pod smugami krwi widać było zielone kontury. Zza niej wynurzył się Edward i rozpościł kobiecie ramiona.

– W tę krótką chwilę zyskałaś bezcielesność. Masz na piersi boginię, która odtąd będzie znaczyć te, które pozbawione są człowieczej słabości.

Lecz nikt nie pojął wymowy tego zdarzenia. Nikt prócz Anieli skrytej za domem Kuzajów, tuż przy samym wozie przybysza.

Stopniowo wóz pustoszał, kobiety wrywały się i płakały, niektóre były za słabe na protest. Gdy Griszka zepchnął ostatnią świnię, przy wozie nie został już nikt prócz ciekawskich. Być może Aniela pozostałaby w swojej kryjówce, gdyby Griszka nie dostrzegł jej z podwyższenia. Ale dostrzegł ją

i jej nierówno ułożone oczy, z których jedno spływało w głąb czaszki, drugie na skroń. Nie zdążył jednak zawołać, bo Aniela sama wyszła z kryjówki.

– Przyszłam zapłacić – wysupłała z ust, a Edward na te słowa odwrócił się teatralnie, jakby zaskoczyło go niezwykle zjawisko. Wpatrywał się w jej nieporadne ciało, na każde niedopasowanie odpowiadał podziwem.

Tak spoczęłam na skórze 16. kobiety ze wsi Gierwiaty. A liczba 16 w tych stronach to liczba fatalna.

Stanisław

Serafin

Trzecie miejsce w kategorii prozy

Wchodzi Artyzm do baru. Dosiada się do najbliższej grupki
i opowiada niestworzone rzeczy. Krytyka się śmieje,
Realizm przewraca oczami, Szary Widz prosi, żeby powtórzyć,
bo akurat kończył się serial.

Artyzm zdruzgotany odchodzi w kącie, gdzie upija się kieliszkiem łez.
Po 3.00 opuszcza bar. Jak codziennie, do łóżka zanoszą i całują go do
snu Wolność i Bieda. Chwała z mieszkania obok przystawia szklankę
do ściany, sprawdzając, czy Artyzm wreszcie kipnął.

Nie zakochuj się pierwszy

Wacław Angard nie zawsze był takim cynicznym kobieciarzem. Urodził się ze słabościami, problemami zdrowotnymi i kredytem hipotecznym. Życie nie było dla niego łaskawe. Palacz od czasów pępowiny. Na początku zwalczał głód dymka, rytmicznie śpiewając do wiatru w szare wieczory. Kiedy był starszy i z nałogiem walczyć już nie mógł, problemy z koordynacją zmuszały go do trzymania papierosa dwoma rękoma naraz.

Ojciec Wacława – za młodu na pół etatu dyrygent chóru mimów – w wolnym czasie projektował w szopie własną wersję koła. W wieku czterdziestu lat zakończył karierę, gdy lekarze wykryli przerzuty chronicznego leniństwa. Matka – z zawodu matka Polka, podyplomowo Alma Mater, płatna wolontariuszka w geriatrycznej grupie artystycznej „VIA-gra w duszy”, w młodości gwiazda ich spektakli *Skrzypiec na dachu*, *Czarnoksiężnik z-Us*, *Kaczka Sanitarna Dziwaczka*.

W siedemdziesiątym czwartym, w trakcie musicalu *Dziewczynka z miotaczem ognia*, teatr spłonął. Od wtedy Wacław został jedynym karmicielem rodziny. Na leki, utrzymanie rodziców i zaprzyjaźnioną mafię zarabiał, pracując jako kozioł w salach gimnastycznych, gracz na giełdzie papierów toaletowych oraz zmywak z płukaniem i suszeniem w Holandii.

Wacław nie znał słów „rezygnacja” i „strach” w wyniku opuszczenia kilku lekcji w żłobku. Chciał zostać kimś bogatym, znanym i kochanym, i był pewny, że jest na dobrej drodze. Zarabiał ile zarabiał, ale starczało. Był coraz bardziej tolerowany w środowisku, czego pierwszą oznaką było zaproszenie na obiad przez własnego pasożyta. W tej sytuacji brakowało mu już tylko odwzajemnionej miłości.

Odwzajemnionej, gdyż sam już kochał. Adele – najpiękniejsza dziewczyna w szkole, nimfa wodna i liderka zapaśniczej grupy czirliderek. Angard długo zastanawiał się, czy nie wyznać jej miłości listem dostarczonem

po jego śmierci. Obojętnie, jak romantycznie by to wyglądało, pomyślił rodził kilka problemów, jak chociażby chęć poznania reakcji i możliwe problemy z pocztą.

Nadszedł dzień, na który czekał. W trakcie balu wieńczącego okres szkolny Waclaw zauważył, że Adele siedzi sama przy staromodnej fontannie pocącego się robotnika. Zebrał się w sobie, poprawił rzepy przy skarpetkach i ruszył w jej stronę. Kilka metrów przed wybranką poczuł popchnięcie i wpadł z pluskiem w wodę. Zabolało – woda była twarda, gdyż miała trzy centymetry głębokości. Jeremi Przepona, szkolny osiłek, dał ludziom trochę ubawu jego kosztem.

Adele podeszła do niego i pomogła wstać, usiedli na ławce. Waclaw był zły za słabe wejście i śmiech ludzi:

– Czemu nikt mnie nie lubi? Czy to dlatego, że pochodzę ze wsi bez mieszkańców i do osiemnastego roku życia pukałem do domofonu? Moje życie jest zbiorem porażek ułożonych alfabetycznie... ale ciebie to na pewno nie interesuje...

– Opowiedz mi – powiedziała Adele. Posłała mu uśmiech, który stopiłby górę lodową, w którą uderzył Titanic, zmuszając DiCaprio do dalszego tańca z menelami wokół pieca.

– No... dobrze. Miałem mocną wadę wzroku, więc nosiłem okulary z wklęsłymi soczewkami. W końcu okuliśta powiedział, że to nie ma sensu i wyrobił mi prowizoryczne szkła kontaktowe z denek po wódce. Teraz noszę specjalistyczne. Z atestami i akcyzą. Wadą jest to, że od tego czasu często zaglądam do butelki. – Zaśmiał się, nie podnosząc oczu.

– Hi hi – zachichotała wybranka serca. Waclaw uznał, że jest to ten moment.

– Adele, jak ty się pięknie śmiejesz. I ślicznie dzisiaj wyglądasz. Adele... Kocham cię, będziesz moją żoną albo chociaż na próbę podpiszemy intercyzę?

– Waclawie! Jesteś zabawny. I pracowity... ale nie.

– Cz-czemu? – Waclawem wstrząsnęło.

– Widzisz, mam typową dla kobiet listę czterdzieści wymagań, które musisz spełniać, wliczając te podstawowe, jak masę pieniędzy, brak własnej woli oraz to, że ty mnie musisz kochać po uszy, abym mogła łatwiej tobą manipulować. Gdybyś spełniał wszystkie warunki i uzyskał przynajmniej dziewięćdziesiąt procent w teście na popychadło, automatycznie zakocha-

łabym się w tobie. W tej chwili jesteś tylko kolegą, osobą, na której mogę polegać, mimo że ty nie będziesz mógł na mnie.

Wacław spojrzął w jej oczy. W jej piękne, tak niewinne – dzięki dobrej stylizacji – oczy. I odszedł, potykając się o kamienie i resztki zamku Kościuszkowskiego, wsiadł do najbliższej zaparkowanego roweru, nie przejmując się alarmem, i odjechał.

Nie myślał, co robi, nie patrzył, gdzie jedzie, ważne tylko, by uciec, być jak najdalej od tej kobiety. Trzeci, czwarty bieg. Piąty, kto da więcej? Szósty. Siódmy. Wacław nic nie widział przez łzy. Zamknął oczy w bólu. Otworzył. Złamany szlaban, urwisko, wiatr i woda. Życie przewinięło mu się przed oczami, z dwoma reklamami i przerwą na wiadomości sportowe. Więcej wody. Ciemność.

Trzydzieści lat później. Inne miejsce, inne czasy, ta sama czcionka.

Baronowa Adele Kinasyf, żona barona Mieczysława, urządziła ogromny bankiet z okazji ich stalowych, niskowęglowych godów. Goście bawili się fantastycznie, śmietanka towarzystwa opowiadała sobie znane fraszki duetu Sztudynger & Strasburger. Kunsztem humorystycznym imponował Kuba Rozpruwacz, jedyny showman patrzący na publiczność, aby dowiedzieć się, czy ma się śmiać. Znany również z tego, że umie wiercić się w fotelu, nawet stojąc. Rozmowa zeszała na temat kobiet:

– Zacytuję wam Jerzego Iksigreka: „Kobiety nie nasyciły się równouprawnieniem, ale się nim upiły. A samotność to ich kąc”.

Sala wybuchła śmiechem, chociaż słyszalnych było kilka protestów:

- Idiotyzm!
- Absurd!
- Salami!

Madame Diana Zmych-Pompodur nieucieszona mruknęła:

– Takı on odważny w słowach, ciekawe, czy to samo powiedziałby w towarzystwie?

– Powiedziałby – usłyszeli z dalszego stolika. Oczom gości ukazał się Iksigrek we własnej osobie.

– Powiedziałby więcej – podszedł bliżej. – Kobiety! Kobiety lubią... kiedy przeprasza się je za ich błędy.

Kilka osób się roześmiało.

- Kobiety... chciałyby zrobić ze swojego faceta dobrą wersję siebie. Rozległy się głośniejsze śmiechy.
- Foch. Zdaniem kobiet... najbardziej fachowy argument! Ponowne rozbawienie oraz kilka pomruków aprobaty.
- Nienawidzi pan kobiet? – spytała się Madame, przyglądając się Jerzemu.
- Nie, dlaczego od razu nienawidzi? Nie považam... jako osób. Jako przedmioty są piękne. Uważam na przykład, że od kobiet dobrze ubranych lepsze są dobrze rozebrane.
- Co pan bredzi, przedmiotowość, a gdzie równouprawnienie? – Pompodur zaczęła tracić cierpliwość, co widoczne było przez lekko drgający wąsik.
- Powiem ci coś na temat kobiet, paniusiu. Według nich równouprawnienie polega na tym, że mężczyźni giną na wojnach, a je w tym czasie boli głowa. Równouprawnienie! Dla bab to przybranie nowych praw i jednocześnie olewanie poprzednich obowiązków! – dokończył, donośnie rechocząc. Ostatnie słowa spowodowały salwę śmiechu i burzę okłasków.
- Nie wolno tak mówić! Płeć żeńska jest delikatna i bezbronna.
- Delikatna i bezbronna? Droga pani, oślatnio równie fascynującą rzecz spuściłem z wodą. Facet nie jest papierem toaletowym: miękkim, pachnącym i do podarcia się. Jeżeli już, to płynem po goleniu, szczypie, ale w jakimś celu. I pachnie alkoholem.
- Pfff. A spróbował pan kiedyś, chociaż raz, zrozumieć kobiety?
- Kobiety zrozumieć? Jak kobiety mają rozumieć faceci, jeżeli nie rozumieją ich nawet kobiety? Ha, ha, ha! NASA pompuje pieniądze w loty, licząc, że kiedyś odnajdziemy cywilizację rozumiejącą kobiety. Widzisz – powiedział, zbliżając twarz do twarzy rozmówczyni – pies nie rozumie kota.
- Oj... jaki pan śmieszny! – zapiszczała nerwowo przy chichocie innych kobiet.
- Tak, jestem śmieszny. – Jerzy się odsunął i zaczął zbliżać do schodów. – Faceci są śmieszni. Kobiety w większości przypadków nadrabiają swoją nieumiejętność rozbawiania mężczyzn przez mówienie banałów, uśmiechając się przy tym.
- Bóg cię pokara, chamie! – wybuchła Pompodur.
- Bóg? Bóg gra z człowiekiem w kółko i krzyżyk, stawiając go na nim.
- To, co mówisz, to bluźnierstwa. Pan... Pan jest zimny jak gład!

– Taaak? Jeeestem? – Jerzy podniósł głos, słysząc go było już w całej sali. – Czy ty wiesz, że facet wybaczy, jeżeli przeprosisz i się wtulisz, a kobieta wybaczy dopiero po ekranizacji twoich przeprosin!? ALE JA JUŻ... NIE WYBACZĘ!

Jerzy, a tak naprawdę Waclaw, spojrzął w górę na schody, gdzie był pokój baronowej. Adele stała tam bez ruchu, lecz nic nie powiedziała.

Nie słuchała go. Liczyła pieniądze.

Marta Dąbrowska

Drugie miejsce w kategorii prozy

Artyzm oznacza dla mnie zdolność tworzenia pięknych, doskonałych dzieł sztuki. W momencie, w którym zostaje odkryty, zmienia się jednak w swego rodzaju obowiązek – dług wobec wszechświata, który można spłacić tylko przez dzielenie się jego efektami z innymi.

Audyt

Najpierw Magda. Magda odebrała telefon głosem nastolatki, którą właśnie zostawił chłopak.

– Tak, oczywiście, możemy zaczynać, czekałam na pani telefon. Tak, czuję się świetnie, angielskiego uczę się od szkoły podstawowej, bardzo lubię moją pracę, daje mi ona mnóstwo możliwości, głównie rozwoju, jestem team leaderem i mam pod sobą pięcioosobowy zespół, praca zespołowa jest bardzo ważna, bardzo miła atmosfera również. Zajmuję się sporządzaniem raportów i weryfikacją procesu, robię szkolenia na temat procesu i raporty ze szkoleń. Ogólnie mówiąc, zajmuję się procesem i w tym też kierunku chciałabym się rozwijać, jak najbardziej podoba mi się moja praca, czasem muszę zostawać po godzinach, ale wiadomo jak jest, prawda? Wiadomo. Wakacje? Rzadko kiedy wakacje... Cały wolny czas i wysiłek wkładam w budowę mojego domu, już właściwie mieszkam, już prawie wszystko gotowe. Do pracy jadę 50 minut, ale to super, bo znajomi to ponad godzinę niekiedy, korki, światła, wie pani. Jeśli chodzi o hobby, to najbardziej lubię spotykać się ze znajomymi i na weekend, jeśli chodzi o plany, to planuję właśnie się z nimi spotkać, często też jeżdżę do rodziców, do małego miasta, odpocząć, wie pani. To już? Ja również serdecznie dziękuję, było bardzo miło, pozdrawiam i do usłyszenia.

Tyle powiedziała Magda.

Magda nie powiedziała natomiast, że tak naprawdę to ani się tak nie zacina, gdy z kimś rozmawia, ani nie śmieje się nerwowo po każdym słowie, a zdarza się to jej jedynie pod wpływem stresu i nienawidzi siebie za to tak bardzo, że wieczorem zje całe opakowanie ptasiego mleczka i zapłakana pójdzie do łóżka. Może zwymiotuje, żeby przez chwilę poczuć się lepiej i nic nie przytyć. Nie powiedziała również, że ma męża i córeczkę. Ciekawe, czemu Magda nie powiedziała, że ma męża i córeczkę? Może

za bardzo bolałoby ją kłamanie również o tym, że ma szczęśliwą rodzinę, skoro jedyne co robią wspólnie, to wpatrywanie się w telefony przy stole. Nie pisnęła słowem, że pracuje na dwa etaty, żeby zarobić na ratę kredytu i przedszkole córki, bo jeśli chodzi o luksusy, to z jej pensji team leadera mogą sobie pozwolić co najwyżej na zmywanie naczyń w ciepłej wodzie i warsztaty tworzenia lasu w słoiku. Nie powiedziała też, że jedną z ciekawszych rzeczy, które ostatnio przeczytała, jest gazetka z promocjami oraz że to, co może mi polecić, gdybym była turystką w jej mieście, to kilka dobrych dyskontów.

Magda nienawidzi swojego ciała. Nienawidzi za rozstępy i krągłości. Nienawidzi, bo mąż nie chce jej już dotykać, mimo że to jedyne, czego jeszcze pragnie Magda.

Magda nie powiedziała również, że wcale nie chciała jechać na wakacje do Chorwacji, tam, gdzie zresztą pojechali w tym roku wszyscy. Nie powiedziała, że boi się małego życia. Takiego, że śniadanie, szczawiowa z ziemniakami i raport. Albo urlop w sierpniu, zupełnie jakby nie można było w styczniu. Boi się tego, że gdy umrze, zagrają jej *Time to say goodbye* i pójda zjeść kotleta. I jej wszystkie dylematy staną się takie małe, malutkie, że aż się będzie śmiała, że tak się można skurczyć, schudnąć szybko jak na diecie białkowej. „Za szybko chudnę”. Okładka szmatławca. Okładka brukowca jej małego życia.

Poza tym Magda jest prawdopodobnie drobną, ładną brunetką. Jest też absolwentką wydziału ekonomii. Po angielsku mówi na poziomie B2 minus i nie ma absolutnie żadnej okazji do jego używania, mimo że umiejętność ta wymagana jest w celu otrzymania pracy nawet na szczeblu o trzy stopnie niższym w drabinie korporacyjnej.

Łukasz.

Łukasz odebrał po trzech sygnałach. Wiedziała, że dwa pierwsze przeczekał specjalnie – tak się robi, gdy czeka się na czyjś telefon.

– Siedzę w samochodzie, taka sytuacja, wie pani, malutka córka w domu, więc i o chwilę spokoju trudno. Tak, możemy od razu po angielsku. Córeczka? Ola, trzy latka, uroczą, cały wolny czas jej poświęcam, na wakacje pojechaliśmy do Chorwacji, polecam, jestem menadżerem zespołu, tak naprawdę to ukończyłem prawo, nawet doktorat zrobiłem, ale moja obecna praca jest bardzo rozwijająca, doszkałam się, nowe umiejętności nabywam, czasem nawet zdarzy się, że muszę iść do sądu, więc to nie jest

tak, że nic z tym prawem... Tak, doktoryzowałem się z inwestycji publicznych, ciekawy temat, mam klientów na boku, jestem przecież radcą prawnym. To już? Ja również dziękuję, miłego dnia, do widzenia i pozdrawiam, do usłyszenia. – I coś na koniec dorzucił.

Łukasz siedział w samochodzie jeszcze około dziesięciu minut. Tyle sobie dał wolności, tyle wyrwał światu i dziękował mi w myślach za tę chwilę, za to, że skończyłam przesłuchanie i mógł popatrzeć przed siebie pustym wzrokiem, popatrzeć na Wisłę, która stoi w miejscu, jak jego życie. Mógł się zmiażdżyć, skarcić za to, że zapomniał, jak się nazywa ZUS po angielsku, takie niedopatrzenie, przecież powinien wiedzieć, a tak w ogóle to po co się łądował w ten temat. Łukasz nie powiedział, że gra w szachy na odległość z przyjacielem z liceum, i że jest to najbardziej realna więź, jakiej ostatnio doświadczył. Nie powiedział, że nie lubi, gdy ktoś mu życzy miłego dnia, wychodząc z windy, bo jest to sztuczne, jak kwiaty na grobie jego matki. Nic nie dodał o tym, że dusi się swoją żoną, której jest za dużo, która nie wiadomo kiedy stała się kolejnym zobowiązaniem, ratą do spłacenia, kontraktem pełnym klauzul abuzywnych, bez realnej możliwości wypowiedzenia. Nie powiedział, że jeżeli basen przecieka, to nie jest to wina wody, tylko basenu i że jest to jedyne, co wie, jeśli chodzi o jego małżeństwo, a już na pewno, na pewno nie powiedział, że co tydzień jeździ pod restaurację, do której zabierał miłość swojego życia, którą potem zostawił ze zwykłego tchórzostwa, zamknął ich uczucie, tak jak zamknięto tę knajpę. Ona zaś stała się miłością jego życia głównie dlatego, że nigdy ze sobą nie zamieszkali, bo tak to działa, tak to się odbywa, jeśli chodzi o te wszystkie miłości życia, i Łukasz to wie. Poza tym Łukasz ma męski, niski głos i prawdopodobnie wygląda jak ktoś, kto zorientował się, że całą młodość zmarnował na bycie młodym, a teraz jest już za późno. „Ruszyła maszyna po szynach ospale”, a teraz „gładko tak, lekko tak toczy się w dal, jak gdyby to była piłeczka, nie stal”.

Seba.

Z Sebą jest inaczej.

Seba powiedział dokładnie to, co myślał. Seba nie ma nic do ukrycia i chociażby z tego powodu jest lepszy – brawa dla Seby, który wygrywa teleturniej zwany życiem, w nagrodę buziak od naszej hostessy, buziak dla Seby, który się nie zastanawia i nie rozważa, bo to strata energii, to dobre dla filologów, a Seba wie, czego chce, i będzie to miał. Nie po to

wyjechał ze swojej wsi, by do niej nie wrócić mercedesem z piękną blondynką na siedzeniu pasażera, ponieważ Seba jest właśnie dwa tygodnie po ślubie, wesele było zacne, dużo dobrego jedzenia, dużo zabawy, wynajął salę pod miastem, a tak w ogóle to bardzo mu się podoba bycie żonatym. Seba ma najmodniejszą fryzurę tego sezonu, kark podgolony, a grzywka gładko na bok. Kocha swoją żonę miłością, która mi, dziewczynie zza słuchawki, wydaje się pewnie gorsza niż miłość biznesmena z Doliny Krzemowej, bo to miłość Seby. Tymczasem miłość to miłość, a ja jestem zblazowaną panienką, co życia nie zna i wydzwania po ludziach, sprawdzając poziom angielskiego, podczas gdy sama jego znajomością nie grzeszy. A tak w ogóle to jeszcze jej się wydaje, że związek Seby nie przetrwa największego wyzwania dla nowożeńców, czyli wspólnego składania mebli z Ikei.

– I jeszcze na koniec, wie pani, może by pani jakoś lepiej ten mój angielski oceniła, ja wiem i sprawę sobie zdaję, że sporo niedociągnięć jeszcze przede mną, to znaczy we mnie, ale wie pani, żeby to ładnie wyglądało, bo to na papier potem idzie...

Otóż wiem, panie Sebastianie. Proszę się nie martwić, ja źle nikomu nie życzę, ja już nie słucham właściwie, ja już, panie Sebastianie, tylko się modlę, ale o tym później, teraz do usłyszenia, pozdrawiam, cześć.

– Pani Marto, jesteśmy bardzo zadowoleni z pani audytów językowych, ale proszę zadawać również inne pytania... O zagrożenia związane z internetem na przykład, globalizacją, o think tanki może, nie wiem... że gdybyś był ministrem swojej branży, jakie kroki byś podjął, no pani Marto...

– Pani Anno, ile razy w ciągu jednego dnia byłyby pani w stanie wysłuchać tej samej odpowiedzi? I niech mnie pani zwolni, bo będę bluźnić. Będę obrażać i nie będę szanować. Będę mówić to, czego się nie mówi. Ja się, pani Anno, potem modlę.

Modlę się o ogień, pożar, który strawi całe miasto, wybuchnie o święcie, wybuchnie szybko, ale cicho, wybuchnie, zanim dzieci wybudzą się

z ciepłych snów, zanim przeklniesz budzik, zanim mleko wykipi. Niech zastanie nas nagich, nieprzygotowanych, na zwolnieniu od życia. Niech zastanie nas w jednej skarpetce, w jednym bucie, w pół kroku, w łazience niech nas zastanie. Niech spali metro, zamieni w popiół dwie linie jak knoty tanich świeczek z Ikea, które trzymamy na parapecie. Niech się zajmą od nich zasłony, niech nas wszystkich dym zadusi i stłamsi w załączku. Spal nas, Boże, bo sami tego nie zrobimy, zamień w popiół te same myśli, te same chińskie ubrania, samochody i pragnienia. Zwęglij to wszystko, zanim się pozabijamy, zanim zeżrą nas deadline'y, zabiją aplikacje, zanim się udławimy obłudą, zanim nas wyślą na Marsa.

Spal Krakowskie Przedmieście i palmę – niech płonie jak pochodnia. Spal domy, które umiemy urządzić, a nie potrafimy stworzyć. Spal targowiska, kebaby, Dworzec Zachodni i budy z tłustymi frytkami. Spal Domy Centrum i przedmieścia. Spal porsche i mercedesy. Spal papiery – zbierz „śmieciowe umowy”, kiepskie zlecenia, wysokie rachunki, niechciane listy, weksle i czeki, ulotki i brukowce. Wyrzuć przed Pałacem Prezydenckim stos faktur, wypowiedzeń, certyfikatów, kart gwarancyjnych, aktów stanu cywilnego i dzienników, podpal jednym dmuchnięciem, bo inaczej zaleje nas ta masa, przejedzie walec i przerobi na makulaturę, którą i tak się powoli stajemy, zrób to, Boże, ocal nas płomieniem.

Podpal kolejki, te do kin i Manekina. Wejścia do metra i wyjścia ze Stadionu. Podpal smutne twarze, spal wszystkie maski, bo nie potrafimy pokazać żadnej emocji, bo myślimy już tylko o tym, żeby ją ukryć, aby ładnie wyglądać. Spal hipsterów, roznoszących głupotę jak węglika, w aktówce kupionej za pieniądze ojca. Spal kawiarnie z kawą na wynos, na którą nas nie stać, kawą na zawołanie, na własne imię – hasło tak puste, jak tylko pusty może być człowiek. Spal Piotrusiów Panów, którzy kleją się do młodości jak kleszcze do pachwiny i żłopią energię słabymi tekstami o nieśmiałości, złym dzieciństwie i Świętym Mikołaju, którego nie ma, a przez co są tacy nostalgiczni. Spal tych, co mówią źle, niedokładnie, niestarannie. Spal zdradzających – dziesięć lat w płomieniach za każdy telefon od żony, którego nie odebrali, dziesięć za miłe słowo, którego nie powiedzieli, dożywocie za to, że w ogóle coś komuś obiecywali. Spal wszystkie nieszczerze uśmiechy, wszystkie łapska wsadzane między nogi, które tego wcale nie chcą, wszystkie usta wypowiadające zbędne słowa – zrób to, zanim sami na siebie ześlemy potop bełkotu.

Spal rzesze kobiet zrobionych na pokaz, fabrycznie umalowanych, urodzonych w zestawie z kredką do powiek, zlepionych na stałe z podkładem, pudrem i różem, ze szminką wrośniętą w nabłonek warg, nie do zmycia, nie do usunięcia, choćbyś ścierał poślinioną chusteczką w niedzielę, choćbyś całował w sobotnią noc. Ocal je, zanim urodzą dzieci, które są ostatnią deską ratunku wypalonych związków, są nadzieją w nich pokładaną, odroczeniem wyroku, obietnicą, którą składa życie w niewiadomej sprawie. Spal twarze, spal lalki, spal chodzące okładki i redaktorów gazet, którzy decydują o tym, co piękne w obecnym sezonie, spal mężczyzn, którzy to głoszą. Spal gromady szukające samych siebie w galeriach handlowych, dnia świętego nieświęcące. Spal śpiących w metrze, bo i tak nie spełniają marzeń, których już zresztą nie mają, bo miały w głowie hasła z reklam, teksty z seriali i nagłówki gazet, spal ich razem z dzisiejszym wydaniem. Spal słuchawki włożone do uszu, bo słyhać w nich tylko prymitywne hity na jedno kopyto, powtarzane boleśnie jak rażenie prądem dopóty, dopóki ich nie polubisz, dopóki sam się nie zaczniesz upominać o przebój swojego życia. Zrób spięcie, największe spięcie świata, niech płoną neurony i szare komórki, szara masa, którą jesteśmy, ale wcześniej puść komunikat: „*game over*, frajerzy, kto się nie schował ten kryje, zmarnowałeś jedyne życie, bardzo mi przykro”.

Spal *call center*, niech już nikt o nic nie pyta, niczego nie żąda, niech nikt nie odbiera telefonów, niechciany jak strudzony wędrowiec podczas Wigilii. Spal kochanków i ich puste przysięgi, co zajmą się płomieniem od razu, bo są papierowe, z toaletowego papieru są, i były nadwątlone już w momencie ich składania – złóż je na stosie faktur, są tylko transakcją, kolejną wymianą. Spal tych, co się zgubili, tych, co nie śledzą już swych myśli, mowy i uczynków, spal biednych i bogatych, bo nie wiedzą, co czynią. Ześlij ogień, bo wypełniamy się pustymi stronami, stajemy się białą kartką z twarzą myślą nieskalaną, spal nam ciało, bo duszy już i tak nie ma. Spal jak certyfikaty, których potrzebujemy, żeby się utwierdzić w sobie, usprawiedliwić beczelność istnienia. Spal nas co do jednego, Boże, bo wcale nas nie stworzyłeś na swój obraz i podobieństwo – spal, bo pragniemy więcej, niż jesteśmy w stanie udźwignąć.

Spal ubrania, bo śmierdzą tym mięsem i wiatrem zmiany – tej złej i dobrej, zmiany odmienianej przez wszystkie przypadki, okraszonej już każdym przymiotnikiem, śmierdzą dymem z klubów, tłustym smogiem śmierdzą.

Spal kalendarze, bo każdy miesiąc bez nowych zer na koncie jest miesiącem straconym, jest przegrany – śpal je, bo i tak żadnego dnia nie zużyjemy na to, by przerwać te wyścigi, zakończyć, powiedzieć „dość”. Spal pościel, bo to w niej się pocimy w nocy, gdy w dzień nie uda nam się czegoś udowodnić. Zabij nas, bo jesteśmy jak trzęsące się ćpuny uwagi, którzy nienawidzą siebie za każde słowo, każdy ruch, który jest ruchem frajera, gestem śmiecia, ale najpierw śpal mnie.

Spal mnie, bo jestem zmęczona, bo mam ciało z ołowiu i modłę się, by choć przez chwilę uwierzyć, że to Ty jesteś tym, który wszystko wie, zna mój gest, słowo i uczynek, i każdy włos na mej głowie ma policzony, mimo że wiem, że to Facebook, że to Google i Amazon znają mój następny ruch, wiedzą, co czuję i czego pragnę, na długo zanim się zorientuję, że wcale nie pożądam tego, co mi właśnie sprzedali.

Spal nas, Boże, bo ta śmierć będzie jak długi weekend, zbawienie jak kurwa mać, które nam zresztą obiecałeś. Wysłuchaj mnie, Panie, święć się imię Twoje.

Amen.

Beata Szewczyk

Pierwsze miejsce w kategorii prozy

Artyzm jest poznawaniem każdym skrawkiem ciała światów, które
szczelnie mnie otaczają: wargi przyłożone do gładkiego brzegu szklanki
i chrzęst tłuczonego szkła, słuchanie, jak krople krwi ocierają się
o wewnętrzną stronę żył, dotykane deszczu, mrużenie oczu od słońca
i zimno zalegające na dnie prawej komory serca. To słuchanie siebie
i *wysłuchanie* siebie, a potem wprasowanie tego w strukturę kartki:
w ten sposób dzielę się sobą z *zewnątrzem*, pozwalam na to, by ktoś
porwał mnie na strzępy albo zasuszył razem z kwiatami.
Albo po prostu porzucił.

Café au lait

Wtedy, trzy lata temu, powinniśmy się byli pokłócić.

Już szarzało i cały Paryż zanurzał się w mieszance mdłożółtego światła i splotów wieczornych mgieł, a my zatrzymaliśmy się w starej księgarni.

Prześlizgnęliśmy się między regałami i dotarliśmy na pięterko. Mieściły się tu dwa albo trzy pokoje, a ja weszłam do tego, którego okno wychodziło na katedrę. Przebiegłam palcami po kilkunaśtu okładkach, zanim wyciągnęłam z półki jedną z książek. Chciałam skulić się z nią na starej kanapie, na której wylegiwał się ogromny kot. Spojrzał na mnie z oburzeniem, majestatycznie uniósł białe cielsko i dosłownie śpłynął na podłogę. Nawet nie zauważyłam, że Szahruk zniknął – w myślach tylko dziękowałam za podarowaną mi samotność.

Ale tak to już jest, że im dłużej kogoś znasz, tym szybciej zaczynasz się o niego niepokoić.

Uniosłam wzrok znad książki, zła, że znowu muszę się o niego martwić. Kot wpatrywał się we mnie nagłaco, aż wstałam i odłożyłam książkę na regał. Gdy przekroczyłam próg, od razu zauważyłam, jak Szahruk cofa rękę, którą gładził płuca starego jak kanapa akordeonu.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. On powoli się wyprostował, a potem podszedł do mnie.

Powinniśmy się byli pokłócić.

Powinniśmy się byli pokłócić.

Ale ja tylko wzruszyłam ramionami i ruszyłam do wyjścia, a on bez słowa podążył za mną.

*

Pierwszy raz z Paryża wróciliśmy trzy lata temu.

Przez kilka dni za nic nie mogłam zrozumieć, czemu nikt tu nie mówi po francusku, a Szahrukowi brakowało muzyków grających na rogach ulic, gdzie ludzie przebiegali na czerwonym świetle.

Taki był nasz Paryż. Taki sobie przywieźliśmy do Polski. I kończył nam się rozpaczliwie.

Kiedyś – zaraz miałam zajęcia, a Szahruk właśnie wracał z pracy – zatrzymaliśmy się, kupiliśmy bagietkę, paczkę małych jak główka kwiatu pomidorów i kubeczek sera. To była polska bagietka, krusząca się w dłoniach i zimna, a pomidory miały tylko jeden kolor, jakby ktoś pomalował je czerwoną farbą pozbawioną odcieni. Zanurzaliśmy kawałki bułki w kubku i połykaliśmy, jakby mogły nam się rozsypać w dłoniach.

Ja płaciłam za ser, on za bułkę. Cały czas zbierał na ten nieszczęsny akordeon.

*

Szahruka poznałam, kiedy czekaliśmy razem na przystanku. Nigdy się nie spóźniał, ale zawsze wyobrażałam sobie, jak biegnie, może nawet krzyczy, jakby mu się naprawdę śpieszyło do pracy. A ja bym po prostu złapała go za zmarznąętą rękę i powiedziała, że dzisiaj nie musi tam iść. W mojej wyobraźni zawsze się zgadzał, a potem wędrowaliśmy, w zupełnie przeciwną stronę.

Dopiero zimą odważył się do mnie odezwać. Padało, a on chciał służyć mi parasolem. Zgodziłam się, ryzykując, że od tamtej chwili będzie odzywać się do mnie codziennie.

*

Kiedyś w Paryżu rozdzieliliśmy się – na parę godzin, ale tak naprawdę trwało to o wiele dłużej. To było wtedy, kiedy poszłam do Luwru. Sama. Szahruk postukał w tarczę zegarka, a ja skinęłam głową i od razu puściłam się bie-

giem do skrzydła, gdzie spoczywają rzeźby. W Luwrze jest ich mnóstwo, niektóre ruchome – to ci, którzy szkicują. Ich ręka prowadzi ołówek czy piórko po kartce, wzrok zachowuje się jak klatka piersiowa w trakcie oddychania: unosi się i opada, a potem znowu i znowu...

Niektóre szkice są lepsze, inne gorsze, ale te, przy których zatrzymałam mój pośpieszny krok, były rewelacyjne. Tak rewelacyjne, że ukradłam Szahrukowi kwadrans, który mogliśmy spędzić, milcząc na krawężniku w głębi osiedla. Wpatrywałam się w spokojne, wolne ruchy artysty i byłam niemym świadkiem procesu rzeźbienia obrazu.

Mężczyzna w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Do czasu, gdy postanowiłam się oderwać od jego szkicu i pójść dalej.

– Podoba ci się? – zapytał.

Skinęłam niepewnie głową, nie do końca ufając swojemu zasobowi francuskich słów.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Na pewno jeszcze się spotkamy – powiedział miękko. – Jeżeli tylko odważysz się pogrzebać w Paryżu.

Moje oczy rozwarły się ze zdumienia, a on wrócił do szkicu. Wpatrywałam się przez chwilę w jego ruchy – dopiero teraz w twarzy Psyche zobaczyłam ten sam niepokój, co w mojej własnej. Uciekłam. Uciekłam, żeby nie pozwolić malarzowi zamknąć mnie w swoim obrazie. I tak czułam, że dopuściłam się zdrady.

Bo, rzecz jasna, zamierzałam jeszcze pogrzebać w Paryżu.

*

Przyjechaliśmy do Miasta prawie rok po powrocie z Paryża jako niekompletna rodzina: Szahruk, ja i akordeon, nasze adoptowane dziecko, które powoli zaczynało się domyślać, że w niczym nas nie przypomina.

Mieszkanie mieliśmy stare i małe, akurat na naszą trójkę. Materac wsunęliśmy pod biurko, a na parapecie ustawiliśmy kwiatek bez nazwy, który szybko usechł. Przez to biurko wiele razy zaczynałam dzień, uderzając czołem albo nadgarstkiem w blat. A chociaż Szahruk nieustannie starał się mnie przed tym uchronić, nie mógł przecież ochronić mnie przed sobą samą – jakaś część mnie stała się karą porannym uderzeniem

w głowę, zapewne jako naganę za moje sny. Staralam się więc, żeby śniły mi się koszmary.

Szahruk powiedział, że mam przestać, bo te koszmary przenikają też przez jego śpiący umysł, a on sobie tego nie życzy.

*

Skoro Szahruk wziął go do domu, ja także musiałam go zaakceptować.

Akordeon jest dość nieporadnym instrumentem, wymagającym specjalnej troski. Gdy jednak brał głęboki wdech, nawet ja musiałam się zatrzymać.

Szahruk umiał tak grać, że potrafiłabym rozczarować się Paryżem. Wystarczył krótki, urywany częściowo rytm, żebym się w nim zakochała i chciała z nim tańczyć do końca świata...

A jednak za każdym razem, gdy już siedzieliśmy do siebie przytuleni – lekko zmęczeni, często nawet z kropelkami potu na skroniach – jego dłoń nie gładziła moich włosów, tylko twardą skórę akordeonu.

*

Obudziłam się i pomyślałam z niejasnym smutkiem, że nasze życie jest jakies takie szare i wygniecione. Szahruk zaczął się wiercić obok mnie, więc zapytałam go:

– Śpisz?

Mruknął coś.

Wstałam, otworzyłam okno i zaczęłam wpatrywać się we wszystkie piętra w dół, aż na paryski chodnik. Nagle poczułam, że stoi tuż za mną. Szary i wygnieciony, zupełnie jak ja.

– Czy chcesz ze mną tak patrzeć na wszystkie miasta świata?

– Będziemy całe życie patrzeć tylko na jedno Miasto – odpowiedziałam cicho. Decyzja została podjęta jeszcze przed naszym wyjazdem.

– Może nie. – Objął mnie mocniej. – Chcesz?

Pomyślałam wtedy o luvrzańskim malarzu.

– Tak.

Zamknął okno, bo miałam dreszcze. W szybie odbijaliśmy się mgliście.

Owszem, byliśmy wygniecieni... ale nie szarzy.

*

Zamiast wstać, zacisnęłam mocniej oczy. Czułam, że on się podnosi tuż obok mnie, że cały ocieka nienawiścią do swojej pracy. Wcisnęłam twarz w poduszkę, żeby nie czuć tego wszystkiego. Byłam zła.

Ale on nawet na mnie nie patrzył, gdy jego palce składały kanapkę z pojedynczych trybików sera i mięsa. Wyszedł, nawet mnie nie dotknąwszy, zostawiając na stole kilka molekuł okruszków.

*

Tak, oszukałam Szahruka.

Powiedziałam mu, że nie chcę na nią patrzeć, ale wieczorem poszłam tam sama. I oczywiście spotkałam luwrzańskiego portreciście.

Nie szkicował wieży.

– To tylko trochę wyższy dach – powiedział mi. – A i tak ktoś kiedyś skozył i nie udało mu się umrzeć. Ja bym się czuł ekstremalnie rozczarowany.

Skinęłam w milczeniu głową, ale zupełnie się z nim nie zgadzałam. Nagle poczułam, że nasze ramiona lekko się o siebie ocierają. Przebiegł mnie dreszcz i odsunęłam się o krok.

– Namalowałam cię.

W obronnym geście zacisnęłam palce na zamku kurtki, jakby chcąc zatrzymać swoje serce. Ale on już je schwytał na obraz i mógł z nim zrobić, co chciał.

Odwróciłam się i zaczęłam biec, byle dalej od niego.

Jeستم pewna, że kiedyś skoczy.

*

Nie mogłam spać. Siedziałam na materacu i wpatrywałam się w pomarszczone czoło Szahruka. Wolno uniosłam palec i zaczęłam szkicować w powietrzu kontur twarzy: zaznaczyłam zamknięte grobowce oczu, delikatnie podkreśliłam kości policzkowe – wystarczająco silne, by podtrzymać kilogramy fałszywych uśmiechów. Poglądziłam cienie jego rzęs, w których zatrzymywał czarne łzy, i dotknęłam zagłębienia przy wargach, gdzie spływały te tęczowe.

Obudził się.

– Nigdy nie skoczysz, prawda?

Coś mruknął, więc tylko musnęłam płatek jego ucha.

*

Drugi raz z Paryża wróciliśmy półtora roku temu.

Staliśmy bezradnie nad wielkim, wypchanym strzępkami papieru i piórkami kurzu biurkiem. Było naszą granicą, dzieliło nas, nasze pięści i serca.

Chciałam wiedzieć, kim ona jest i dlaczego grał dla niej na akordeonie. Pewnie dlatego, że śpiewała po francusku, czyli nie otwierając ust.

Mówił, że śpotkał się z nią. Ale po co, tego nie chciał mi powiedzieć. Przypomniałam sobie, że w księgarni, gdy ja szukałam książki, on poszedł do pokoju, w którym stało łóżko. Było wąskie, zmieściłyby się w nim akurat dwa ciasno ze sobą splecione ciała, pachnące skórą i głodem. Ten zapach mnie mdlił, dławił i dusił.

Skoro Szahruk nie chciał mi nic powiedzieć, zaczęłam mówić za niego, moje ręce tańczyły, a każdy gest kończył się uderzeniem w drzwi.

Więc w końcu to zrobił.

Usłyszałam brzęk tłuczonego szkła i wiedziałam, że to mogły być moje oczy. Że jednym uderzeniem mógłby rozbić mnie na kawałki, ale nie zrobił tego. Papierki krwi zmieszały się z lśniącymi okruchami potłuczonej szklanki, a on rzucił się do drzwi i uciekł, zostawiając na klamce głęboko czerwoną smugę życia.

*

Nigdy nie domyśliłabym się, że bez niego będzie tak cicho. Zsunęłam się z materaca i powlokłam w stronę akordeonu. Skuliłam się tuż przy nim, a potem oparłam na nim dłoń i pogładziłam klawisze, wpatrzona w zamknięte drzwi.

– On nigdy nie skoczy – powtarzałam.

Akordeon nie odpowiadał. Nie wierzył w ani jedno moje słowo.

Szahruk wrócił z szalikiem.

Znalazł nas na podłodze, jak drętwo wpijałam się w obudowę instrumentu. Dla mnie był niemy, dla mnie był niczym bez Szahruka.

Podniosłam się, czując ból w ramionach. Po chwili znaleźliśmy bandaże, więc szalik nie był już potrzebny.

Szahruk syczał na mnie, gdy próbowałam dobrze docisnąć opatrunek. Syczał, gdy cofnęłam urażoną rękę i sama miałam ochotę na niego syknąć. Chcieliśmy wypłuć nasz ból, ale żadnemu z nas się nie udało.

Powinnam była powiedzieć, że to wina akordeonu. Na pewno by zaprzeczył, jeżąc się aż do krwi w zranionej ręce. I wtedy musiałby mi powiedzieć...

– Gdzie są klucze?

Był wściekły, bo była piąta dwadzieścia, bo byłam rozczochrana, bo już trzeci dzień padało, a jego coraz bardziej bolała ręka.

– To, że nie śpię, nie znaczy, że chowam ci klucze.

Zaczął przerzucać kolejne strzępy codzienności z naszego wielkiego biurka, a ja kuliłam się ze strachu, że zaraz zacznie grzebać we mnie i wyczeze wszystko na wierzch. Nie tylko wątrobę i płuca, ale i luwrzańskiego malarza albo lepkie ręce nieodpowiedzialnej matki.

Wiedziałam, że ta ręka to moja wina. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że najwięcej bólu Szahrukowi sprawiam właśnie ja.

*

Zanim Szahruk pierwszy raz zaprosił mnie do siebie, byliśmy u jego rodziców. Cała familia cisnęła się na zdecydowanie zbyt małym metrażu i od razu zrozumiałam, że z jego miłowaniem ciszy musiał gdzieś uciec. Ale dlaczego tu wracał, rozumiałam o wiele później.

To tutaj czekał na niego akordeon. I jego dziadek, który nauczył go grać. A potem umarł.

Byliśmy na pogrzebie. Szahruk nie powiedział tego na głos, ale powiedział mi to uścisk jego ręki. Czuł, że dziadek go porzucił.

A myśmy porzucili nasze dziecko, które miało problem z oddychaniem. Zamiast je wyleczyć, oddaliśmy je.

Nie, zdecydowanie nie byliśmy odpowiedzialnymi rodzicami.

Po tamtym dniu długo nie mogliśmy jeździć autobusami, których skrzypiące przeguby przypominały oddech. Szahruk wyciągnął nasze rowery z piwnicy i mimo chłodu i deszczu eksploatowaliśmy je każdego dnia. Pocieszałam go, że teraz nareszcie ktoś poświęci instrumentowi wystarczająco dużo czasu.

W tamtej chwili sama się uświadliwiłam.

Dla Szahruka to nadal była zbrodnia.

*

Prasowałam zawsze na biurku, najpierw odgarniając całą hałdę rzeczy przedramieniem. Chwyciłam parę koszul za kołnierze i przygwoździłam je do blatu, jak na stole chirurgicznym. Jedna niefortunnie zaczepiła się o brzeg biurka, wlokąc za sobą żyłę z białej bawełny. Zbyt nerwowo sięgnęłam po nożyczki i zaczęłam mocować się z materiałem. Ból przyszedł później.

Patrzyłam, jak krew oblepia kołnierzyk jego koszuli. Potem jednym ruchem oderwałam guzik. Ten, którego nigdy nie zapinał.

– Uduśliłbym się, gdybym go zapinał! – wściekł się Szahruk.

– Nigdy go nie zapinasz! – krzyczałam.

Podszedł do mnie i zacisnął palce na koszuli.

– Nie możesz tak myśleć, bo zaczniesz tak traktować ludzi. Jakby byli niepotrzebni, bo nie robią, nie *służą* do tego, czego od nich oczekujesz. A przeszło ci przez myśl, że może nie masz racji? Nie możesz ich za to niszczyć.

Sięgnął po nożyczki. Nie zareagowałam. Uniósł dłoń i ostrożnie obciął mi jedno pasmo włosów.

– Zawsze ci uciekają, jak się czeszesz – powiedział.

Dopiero teraz zauważyłam, że na ostrzu nadal jest trochę krwi z mojej ręki. Poszedł po spirytus i mocno ujął mnie za dłoń. Syknęłam, bo zapiekło. Zalepił ranę plastrzem i pocałował.

– Uważaj na siebie, wariatko.

– To tylko krew guzika – wyjaśniłam krótko.

*

– Drugi raz bym go nie oddał.

Jego rower skrzyphiał i denerwowało mnie to z każdą chwilą coraz bardziej.

– Ty tego nie rozumiesz.

Ale ja nigdy nie potrzebowałam tego rozumieć!

Mocniej docisnęłam pedały, a przez głowę przepływały mi myśli, których sama się bałam.

A może jednak potrzebowałam. Może wtedy zrozumiałabym, gdy stąpeli razem w drzwiach.

Na dobre wróciliśmy z Paryża osiem miesięcy temu.

Był inny niż tamten pierwszy, byłam o tym przekonana. I wiedziałam, że Szahruk zrobił to specjalnie. Nie chciał niczego sobie zastępować, chciał po prostu kochać kogoś jeszcze raz, jeszcze mocniej, tak bardzo, by dawać mu oddech, by wskazać mu melodię, by dać mu siłę, by trzymać go w ramionach.

To od niej go kupił. I chociaż teraz rozumiałam, chociaż mogłam mu wybaczyć, ból nie stawał się płytszy. Bo wiedziałam, że prędzej czy później zawsze przegrywam z akordeonem. Na nim Szahruk umie grać. Na mnie nie.

– Jesteś?

– Jestem.

Telefon przenosił nasze oddechy, ale nie słowa.

– Jak mnie znalazłeś?

– Powiedziałaś, że chcesz pracować w księgarni. A jest tylko jedna, którą mogłaś mieć na myśli.

– Chcesz, żebym cię przeprosiła?

Przez chwilę milczał.

– Zacząłem śpiewać dla siebie, od kiedy odeszłaś, wiesz?

Nie odpowiedziałam.

– Proszę cię tylko, żebyś ode mnie już nie uciekała.

Telefon złośliwie chrząknął, gdy odkładałam słuchawkę. Wysłałam, nawet nie zamykając za sobą drzwi.

Szahruk czekał, lekko wilgotny, z przyciemnionymi deszczem pasemkami włosów.

– Wiem, że ty możesz tak żyć – powiedział wolno, ale głos mu drżał. – Ale ja nie. Jestem zmęczony.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamiast tego z jego ust wydobyła się melodia. Nie pamiętałam, że umiał tak śpiewać. Nigdy mi nie śpiewał, od kiedy oddał swój pierwszy akordeon.

A on już się odwrócił, już odchodził sobie w miękką, rozwilgoconą mgłę. I sobie śpiewał.

Nie umiałabym powtórzyć tych słów, mieszał francuski z polskim tak, jak niektórzy proszą o mieszane lody na skraju parku w naszym Mieście.

Ale refren był banalnie prosty, więc chociaż kot uciekł, akordeonu nie było, a Szahruk zniknął w ciemności, mogłam śpiewać razem z nim.

Spis treści

Wstęp	5
Poezja	
Magdalena Lipniak-Młyńczak	9
Błażej Tomaszewski	17
Jolanta Nawrot	25
Małgorzata Osowiecka	33
Aleksandra Sprengel	41
Anika Jabłońska	47
Monika Stępień	55
Aleksandra Krzyżaniak	59
Borys Róg	65
Mateusz Szopka	73
Weronika Tiffert	81
Sandra Bożek	89
Bartłomiej Kuczkowski	97
Lidia Karbowska	105
Łukasz Kaźmierczak Łucja Kuttig	113
Proza	
Bartosz Rogala <i>Kalendarium ojca i syna</i>	123
Magdalena Lipniak-Młyńczak <i>Paproch</i>	133
Dorota Sembratowicz <i>Człowiek</i>	143

Dagmara Tomczyk	
<i>Do widzenia</i>	147
Szymon Sentkowski	
<i>Czworokątna dysputa filozoficzna nocą</i>	155
Karolina Sowa	
<i>Zagraj z nami</i>	165
Marianna Umerle	
<i>MiauRycy kontra czwartek</i>	177
Lidia Majchrowicz	
<i>Człowiek, który chciał mieć raka</i>	187
Bartłomiej Kuczkowski	
<i>Pasikonik</i>	197
Maja Wolińska	
<i>Kropka</i>	205
Łukasz Kaźmierczak Łucja Kuttig	
<i>Pisłacje</i>	211
Elżbieta Łapczyńska	
<i>Wszystkie moje skóry</i>	221
Stanisław Serafin	
<i>Nie zakochuj się pierwszy</i>	229
Marta Dąbrowska	
<i>Audyt</i>	237
Beata Szewczyk	
<i>Café au lait</i>	247